

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
Królewska 29A, tel. 301-62
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4-043

Godziny przyjęć: codziennie prócz
sobót i niedziel — Redakcji 11.—13.
Administracji 17.—19.

Rękopisów nie zwraca się.

Numer zamyka się w środę

NIESPRAWIEDLIWOŚCIĄ JEST ODBIERANIE KOMUŚ POD POZOREM PRAWA TEGO, CO MU SIĘ NALEŻY WEDŁUG PRAWDZIWEJ WYKŁADNI PRAWA.

(SPINOZA, „TRAKTAT TEOLOGICZNO-POLITYCZNY”).

9 maja 1937

WARSZAWA

28 ijar 5697

W drugą rocznicę

Apolinary Hartglas

O. Z. N. i ŻYDZI

(I. h.) Za kilka dni, 12 maja, przypada drugą rocznicę zgonu Józefa Piłsudskiego. Tak, jak przed rokiem, odejdą się oficjalne uroczystości żałobne, ukażą się oficjalne odezwy, rozlegną się oficjalne przemówienia. Wielkie chwile dziejowe i ich rocznice usposabiają jednak, poza zewnętrznymi uroczystościami, także do wewnętrznych rachunków sumienia, do spojrzenia na drogę, którą już przebyliśmy, do zastanowienia się nad przyszłością, ku której zdążamy. A zgon Józefa Piłsudskiego był niewątpliwie taką wielką chwilą dziejową — dla wszystkich w Polsce. Więc także my, jako równi obywatele tego państwa, którego Piłsudski był budowniczym, i jako Żydzi — chcielibyśmy już teraz, nim rozlegnie się głos oficjalnych hołdów, poczynić to ciszszy i skupieniu nasz własny rachunek sumienia.

Przed dwoma laty zasnął w Bogu Józef Piłsudski. Dwa lata to nie jest dużo — tak dużo jednak w tym krótkim okresie zmieniło się w Polsce! Barwny szlak życia i walk Piłsudskiego ciągnie się długą linią, której poszczególne odcinki i etapy nie raz bardzo różnią się od siebie; na poszczególnych etapach i odcinkach zmieniło się też grono uczniów towarzysza Wiktora, Ziuka, Komendanta, Wicelna Magdeburgskiego, Naczelnika Państwa, Marszałka Polski i wodza przewrotu majowego: jedni przechodzili — drudzy odchodzili. Dziś uczniowie Piłsudskiego znajdują się po obu stronach politycznej „barykady” — na czele pozostający w opozycji obozu demokracji oraz wśród oficjalnych sterników dawnej państwowej. Ci ostatni są uczniami Piłsudskiego z ostatniego okresu jego działalności — ci ostatni też są bezpośrednio odpowiedzialni za przemiany, które w ciągu tego krótkiego dwulecia doznał się w oficjalnej polityce polskiej.

Tak dużo bowiem przeobraziło się w Polsce oraz w ideologii obozu, który po Piłsudskim rządził Polska. Tak dużo i tak radykalnie się zmieniło, jeśli porównamy naczelne założenia ideowo-polityczne Marszałka z rzeczywistością, tworzoną przez jego uczniów.

Albowiem koncepcja, po odzyskaniu Niepodległości, koncepcja polityczna Piłsudskiego była i d e a f e d e r a l i z m u. Wywodziła się ona z najpiękniejszych i najsmakowszych tradycji polskiej historii, a jednocześnie w zdumiewający sposób odpowiadała nowoczesnym, liberalnym i humanitarnym poglądom narodowościowym. Nawiązywała z jednej strony do wielkiego dzieła Jagiellonów: unii z Litwą i Krowie, Horodle i Lublinie oraz do niezrealizowanej — niestety — ugody hadziackiej z Ukraińcami; łączyła się z drugiej strony harmoniami z nowoczesnymi koncepcjami o współżyciu wielu narodów w ramach jednego państwa, tworzoneymi w naszych czasach przez socjalistów austriackich. Była to wielka idea. Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Żydzi — żyłby z sobą wspólnie i zgodnie w granicach wielkiego państwa — federacji, które sprawiedliwie zaspokajałoby ich narodowe, obywatelskie i ludzkie dążenia. Oznaczałoby to najpiękniejszą i najbardziej sprawiedliwą formę realizacji idei Polski, naprawdę Wielkiej — a jednocześnie byłoby doniosłym etapem na drodze do lepszego uregulowania stosunków pomiędzy narodem a państwem, oraz pomiędzy narodami, żyjącymi we wspólnym państwie.

Józef Piłsudski nie zapominał o tej wielkiej koncepcji, gdy jako Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz armii polskiej mógł próbować jej urzeczywistnienia. Wyprowadził ją do skutku w 1920 r., była właśnie taką próbą — próbą, która się nie udała z powodu przeszkód zewnętrznych i także wewnętrznych. Ale również w zmienionych warunkach polityki zewnętrznej Piłsudski o idei tej nigdy nie zapomniał.

Wywodził z niej stosunek do narodowości niepodległych, żyjących pod wspólnym dachem Polski — Rzeczypospolitej Narodowej. Tak się złożyło, że w pierwszym okresie Niepodległości Piłsudski był pochłonięty prowadzeniem wojny w obronie młodego państwa, w drugim: uznał za konieczne usunąć się od steru polityki, w trzecim zaś: był całkowicie pochłonięty or-

Cała prasa żydowska ostatnio interesuje się kwestią ustosunkowania nowego obozu do Żydów. To samo widzimy w prasie polskiej. I... wszyscy są niezadowoleni. Jest to tym dziwniejsze, że zorientować się dokładnie w samej sprawie jest dość trudno, jako że stanowisko O. Z. N.-u samo jest jeszcze mocno mgławicowe i nieskrystalizowane. Żydów — jak świadczą głosy prasy — podobnie zresztą jak i Polaków, „frapuje głównie kwestia przyjmowania Żydów do nowego obozu. Ale, coż można powiedzieć stanowczego tam, gdzie inż. Barański w Wilnie oświadcza, że Żydzi, mogą być przyjmowani do nowego obozu tak, jak Polacy do organizacji syjonistycznej, a pułk. Kowalewski w Warszawie powtarza to samo, tylko, że przed słowem „mogą” wstawia małe słówko „nie”. Co można powiedzieć stanowczego w tej sprawie, gdzie szef sztabu nowej organizacji mówi jednego dnia na konferencji prasowej jedno, nazajutrz w wywiadzie ad hoc ogłasza przez PAT. coś innego, a i w tym innym koniec się nie trzyma początku. Należy więc w tej materii cierpliwie czekać zapowiedzianej specjalnej konferencji w sprawie żydowskiej.

Narazie jednak prasa żydowska jest niezadowolona. Polska też. Prasa endeccka pyta — i nie bez racji: jeśli macie takie same poglądy na sprawę żydowską, jak i my, to po co wam odrębna organizacja? A jeżeli tworzyacie odrębną organizację, to widocznie robicie to z pewną reservatio mentalis — więc wam nie ufamy. A wiadomo, że dla endecji wszystko zaczyna się i kończy na kwestii żydowskiej. Dla nich — jak świadczą ostatnie uchwały ich Naczelnej Rady cała sprawa polska jest właściwie tylko kwestią żydowską. Monarchiści z „Czasu” mają znowu inne zmartwienie: roniąc łzy krokodyla, że np. Słonimski nie będzie mógł być członkiem OZN-u, martwią się, że wobec kryterium chrześcijańskiego członkami OZN-u będą mogli być Żydzi — mniej wartościowi, mehesi. Pomijamy prywatną sprawę p. Słonimskiego, że jest przypadkowo też nie Żydem (wyznaniowo — Żupenie, a rasowo — polowicznie), ale my chcielibyśmy wszystkich chrześcijan Żydów ustępujemy OZN-owi z dobrodzieństwem inwentarza, ale z zastrzeżeniem, żeby to nie szło na rachunek narodu żydowskiego.

Opinia publiczna żydowska nie mogła jeszcze poważnie określić swojego stosunku do OZN-u z tej prostej — podkreślonej już wyżej przyczyny, że ma się narazie do czynienia jeszcze z mgławicą, z ogólnikami. Pewien ton niezadowolnienia, zryzykowanej wywołany został głównie oświadczeniami, dotyczącymi przyjmowania Żydów. Natomiast w ferworze polemiki zapomniano o istotnych momentach,

które mogą i winny stanowić o naszym ustosunkowaniu się do nowego obozu. Niechże podpisany też uległ tej ogólnej psychozie.

Czy jednak w rzeczywistości wolno nam się odnosić krytycznie do tej czy innej woli OZN-u w przedmiocie przyjmowania członków Żydów? Naturalnie, nie do argumentacji, jaką swoje uchwały usprawiedliwiają jego kierownicy, ale do samego faktu. Sądzę że nie.

Jeżeli przyjąć za podstawę wywiad pułk. Kowalewskiego z PAT-em, odrzucić zeń pewne sprzeczności wewnętrzne, które prowadzą do stwierdzenia jakiejś rasowej (a może i wyznaniowej) bliźszości Polaków — maołolsko-mahometańskich — tatarów i mongolsko-ortodoksyjno-biblijnych Karaimów, oraz pominąć lapus argumentacyjny o niemożliwości (!!) należenia aryjskich do ruchu syjonistycznego (a pastor Heman? prof. dr. Auhergen? Polak Newliński? Miss Duodalle? zamordowany przez Arabów członek Histadrutu, Polak — katolik Antoni Sługa?), to ostateczna kwintesencja wywodów pułk. Kowalewskiego w materii przyjmowania Żydów jest taka, że przyjmowani mogą być ci spośród osób pochodzenia żydowskiego nawet niechrześcijan, którzy faktycznie i zupełnie się z Polakami zasymilowali i asymilację tę stwierdzili nie tylko słowami, lecz i krwią przelaną bądź „czynnem całego życia”. Warunki niewątpliwie bardzo ciężkie i redukujące znaczenie zakres osób, które zostaną przez stronę polską uznane za Polaków, — warunki nie stawiane, ani b. Rosjanom, ani b. Niemcom, ani tym Polakom, którzy przed listopadem 1918 r. o swojej polskości zrestokroć zapominali, ani nawet Tatarów i Karaimów. Ale czy my, Żydzi narodzi, możemy z tego powodu czynić jakiegokolwiek zarzuty?

O. Z. N. — to znaczy: oboz zjednoczenia narodowego. Twórcy obozu użyli tu słowa „narod” nie w znaczeniu państwowym, nie w znaczeniu Konstytucji Marcowej (przez duże N), a w znaczeniu etnicznym. Twórcy obozu chcą stworzyć nową organizację, etnicznie czysto polską, chcą być u siebie i pomiędzy sobą, — czy możemy im odmówić tego prawa? Czy będziemy żądać od stronnictw innych ludów, żeby koniecznie przyjmowali członków innych narodowości, zwłaszcza gdy chodzi nie o stronnictwo klasowe, czy ugrupowania gospodarcze, a partie nadklasowe, w rodzaju Narodowej Demokracji czy OZNU? Czy razi nas, że ukraińskie UNDO przyjmuje tylko Ukraińców?

Nasi asymilatorzy odpowiadają nam: ale przecież tu chodzi nie o nie — Polaków: tu chodzi o ludzi, którzy czują się Polakami, tylko sa pochodzenia żydowskiego, a częstokroć jeszcze i mołdawskiego.

W drugą rocznicę zgonu Józefa Piłsudskiego, w godzinach wspomnień, pełnych żałobnej powagi, w chwilach powściągniętego politycznego rachunku sumienia — szczerze przypominamy, że my, Żydzi narodowi nie byliśmy zaspokojeni zewnętrznymi przejawami praktyki narodowościowej rządów Marszałka Piłsudskiego. Nie wystarczyło im nie mogło wystarczać samo odgraniczanie się od endecckiego „maksymalizmu” a tym mniejszościowego. Domagaliśmy się od rządów tych wkrócenia na drogę politycznego zaspokojenia i zaspokojenia naszych obywatelskich i narodowych potrzeb, nie doczekawszy się jednak tego, przez długie lata pozostawaliśmy wobec tych rządów w parlamentarnej opozycji, do której zresztą skłonili nas także nasze demokratyczne nastawienie w sprawach ogólnopolskich.

Albowiem Józef Piłsudski był dla nas zawsze pięknym symbolem wartości ideowych narodu polskiego, wzorem ofiarnej służby dla dobra Polski tak jak jej pojmował, uosobieniem idei: „Za naszą i za Waszą wolność”. Takim w naszej pamięci pozostał.

go wyznania. Ale w tym sęk, że skoro ja wychodzę ze swego środowiska i (nie) wejść do innego, to prawo selekcji, prawo orzekania, czy ja w rzeczywistości do tego innego społeczeństwa należę, powinno należeć nie do mnie, a do tego innego społeczeństwa. Ja mogę się mylić, będąc zresztą w najlepszej wierze, — ja oddaliłem się od Żydów i mogę mylnie, że się przez to już stałem Polakiem (naturalnie, w Polsce, bo już w Niemczech będę myślał, że się stałem Niemcem, w Rumunii — że Rumunem i t. d.), ale może w istocie ja nie stałem się jeszcze Polakiem i właśnie dlatego uważam, że to, co ja myślę i czuję, to już jest stuprocentowe polskie? Niechże więc orzekną ci, których polskość mniemolna, etniczna do tego przedjętą uprawnia. Bo — nie ulega wątpliwości — są jednostki pochodzenia żydowskiego, które się zupełnie, szczerze i nie dla żadnych korzyści zasymilowały zupełnie ze społeczeństwem polskim. Ale te szlachetne jednostki nie są tak liczne, bo nie tak jest łatwo wyleźć z własnej skóry. Natomiast ogół t. zw. asymilatorów i neoasymilatorów — zwłaszcza tych ostatnich — to są ludzie, w których cechy golusowo-żydowskie, właśnie dominują, dosięgły najwyższego napięcia, którzy wobec tego cierpią na wyolbrzymiony kompleks niższości i z tego powodu głównie gwałtem pchają się do środowiska polskiego jeżeli nie drzwiami, to choćby oknami. Nie mówię już o całej masie pospólitych karierowiczów, którzy z łatwością porzucają naród żydowski, a — gdy to im odpowiada życiowo lub materialnie — odrzucają i zewnętrzny węzeł, łączący ich z żydostwem i religią — tylko dlatego, że obóz przez nich porzucony, jest obozem uciemiężonych, a ich dusza łgnie do obozu panujących, kimkolwiek są ci ostatni.

My, Żydzi, bardzo chętnie rezygnujemy z tych renegatów i uciekinierów. My, Żydzi narodowi, bierzemy to za złe żydostwu niemieckiemu, że zbyt pochopnie przyjęło z powrotem do odpłdki ludzkie, gdy otrzymali kopniaka od Hitlera. Czy więc możemy żądać od innych, by podobnie nie pewnie i — w istocie nawet jeszcze nie polskie — elementy przyjmowali? Chyba nie. Stąd wszakże nie wynika, że byśmy my, Żydzi, ich uznawali za swoich. I tu muszę „czynnem swojego życia” stwierdzić swój powrót. A narazie powinni pozostać, jako specjalna kategoria „beznarodowców”. Stosunki powojenne stworzyły kategorię „bezpaństwowców” w sensie obywatelstwa. Stosunki stałej walki naszego narodu o jego byt narodowy zmuszają nas do stworzenia z renegatów rozmaitego typu kategorii „beznarodowców”, byłych Żydów. Coś w rodzaju wrony w pawich piórach z bajki: ani wrona ani paw. Trudno. Ani na dwóch stołkach nie należy siedzieć, ani stołka narodowego nie można z taką łatwością i tak dowolnie zmieniać.

Zatem z tego, że OZN chce być stronnictwem czysto-polskim w sensie etnicznym, na wzór Endecji, nie możemy mu zarzutu czynić. Rozumiemy ból i licznymi istotnie zasymilowanych Żydów, że może będą musieli przejść przez pewną weryfikację i może którykolwiek z nich zostanie przypadkowo skrzywdzony. Rozumiemy rozgoryczenie i popłoch w szeregu pseudo-zasymilowanych — dość licznych, niestety, ostatnio dzięki BBWR i rozmaitym kombatanckim Linas Hacedekom — rzesz, którym się teraz dość niegrzecznie pokazało drzwi. Ale trudno.

Zresztą, zdaje się nam, że się wkrótce z losem swoim pogodzi. Przede wszystkim nie wierzymy, żeby OZN-wi tak się udało przeprowadzić dokładnie selekcję. Raczej skłonni jesteśmy myśleć, że nie jeden istotnie, szczerze i bezinteresownie zasymilowany Polak pochodzenia żydowskiego zostanie przy weryfikacji skrzywdzony, natomiast asymilanci typu renegackiego prześlizgną się z łatwością i ci zawsze potrafia, dla tych żadna sieć nie ma dostatecznie małych oczek. A ci nawet, co się nie prześlizgną co zostaną poza obozem, otrzymają też odpowiednio pozytywne ochłapy, rozmaite synekury w towarzystwach filantropijnych żydowskich, w komisarycznych zarządach gmin-

nych i t. p. I to ich zaspokoi. Takich Naurmanów, takich „uczonych jęwejów” mamy dosyć — i apetyty ich nie są wcale tak kolosalne. Oto nie dawno ukazała się już jakaś notatka o rzekomo planowanym nowym obsadzeniu posad w Gminie Warszawskiej. A na Zjeździe Miast nawet teraz już się znalazł podobno jakiś Żyd ze Stanisławowa, który usiłował zmieknąć serce adw. Kowalewskiego wnioskiem, żeby przynajmniej tych Żydów dopuścić do zarządu, którzy... się poczuwają do narodowości polskiej*). Niestety, przepadł: adw. Kowalski ich nie „odczuwa”, choć oni się „poczuwają”. A możliwe, że i OZN-wi ich poczuwanie się nie wystarczy.

Więc nie w tym tkwi rzecz, że OZN nie chce przyjmować Żydów. Niebezpieczeństwo może tkwić gdzieś indziej. Przede wszystkim — co to jest OZN? Bo, jak wynika ze słów zarówno inż. Barańskiego, jak i pułk. Kowalewskiego, nie ma być to monopartia i nie dąży ona do ustroju totalnego w Polsce. Więc jeżeli to ma być tylko jeszcze jedno nowe stronnictwo, które dąży do władzy, do utworzenia rządu drogą normalną — to prosimy. W drodze wolnego współzawodnictwa — dlaczego nie? Ale jeżeli OZN, mimo oświadczeń negujących monopartię — zmierza do antydemokratycznego usunięcia wszelkich ugrupowań i do rządzenia krajem przez mniejszość, — to wtedy społeczeństwo żydowskie będzie musiało odnieść się do nowego obozu krytycznie, bowiem całe narodowe i postępowe żydostwo (z wyjątkiem garstki rewizjonistów) stoi na stanowisku politycznej demokracji. A jeżeli OZN się wykrystalizuje w stronnictwo o typie zbliżonym do faszyzmu, t. zn. hołdujące identyfikowaniu partii z państwem, to wówczas moment nieprzyjmowania Żydów, moment kryterium etnicznego nabiera na ostrości, gdyż pozbawia nas, Żydów, praw obywatelskich, prawa współpracy nad budową Państwa i prawa do współodpowiedzialności za jego dobro, jego losy.

Bo kwestia narodowości nie ma jeszcze nic wspólnego z kwestią obywatelstwa. Rozumiemy i uznajemy, że głównym, bezkonkurencyjnym budowniczym Państwa, wysciskającym bezapelacyjnie na nim swoje piętno narodowe, jest naród polski. Ale są i inni obywatele, innych narodowości, w pokazanej łącznej liczbie 35—39 procent, a w tym blisko 1/3 część stanowi Żydzi. I ci Żydzi też są obywatelami Państwa, winni ponosić dlań wszelkie obowiązki i ofiary, ale mają też prawo korzystać i ze wszystkich praw obywatelskich. Nie mamy potrzeby powoływać się tu na obydwie konstytucje, na argument, którym min. Beck poparł jednostronne wypowiedzenie traktatu mniejszościowego: że Konstytucja polska i tak te same prawa dobrowolnie gwarantuje mniejszościom.

Przypuszczamy też, że panom z OZN-u znane są i oświadczenia Marszałka Piłsudskiego w tej samej materii. A wszystkim to sprowadza się do jednego: Żydzi polscy zachowując swoją odrębność kulturalno-narodową i nawet swoje aspiracje państwowe, nie przestają być obywatelami Polski i winni korzystać z pełnego równouprawnienia obywatelskiego. Błędem nie dojdziemy do takiego absurdu, jak nawet p. B. Koskowski, który wypowiedział się ostatnio za ograniczeniem praw obywatelskich Żydów, jeżeli zachowują swoją odrębność narodową i oświadczył, że tak się dzieje i powinno dzieć wszędzie. P. Koskowski zapominał, że Polacy nawet na Litwie kowieńscy w 1918 r. mieszkali tam o 600 lat krócej, niż Żydzi (w Polsce) korzystają i z pełni praw obywatelskich i jednocześnie z praw narodowych i protestują przeciwko każdemu ograniczeniu. P. Koskowski nie pomyślał chyba, że wielomilionowa polonia amerykańska, korzystająca z pełni praw obywatelskich, przy zachowaniu swojej odrębności narodowej, może wystąpić w końcu — wraz z innymi narodowymi grupami — o przyznanie jej zbiorowych praw narodowo-kulturalnych — a nie wierzym, że p. Koskowski

*) „Haim” z dn. 27. IV. 1937 r.

(Dokończenie na str. 2-jej)

WYDARZENIA I ODGŁOSY

1 maja 1937

Majowe święto wolności minęło w tym roku w Polsce pod znakiem demonstracji wielkiej siły potencjalnej zorganizowanego ruchu robotniczego z P.P.S. na czele. To nie, że „Gazeta Polska” stara się sama siebie pocieszyć, stwierdzając minorowo, że w porównaniu z zesłorocznymi demonstracjami, da się „na ogół” zaobserwować spadek — albowiem pismo to już od lat cierpi na złudzenia optyczne w ocenie rzeczywistej rzeczywistości. I nic też nie szkodzi, jeśli drugi przyjaciel świata pracy i demokracji, „Goniec Warszawski”, z głupia frant konstatuje, że pochód P.P.S. był najliczniejszy... po „Bundzie” — bo przecież tania złośliwość podobnego rodzaju demaskuje tylko uczucie zawiści.

Dzień 1. maja dostarczył znowu wspólnie sposobności poznania rzeczywistego oblicza politycznego i nastrojów szerokiego mas. Te dziesiątki i setki tysięcy ludzi pracy, które maszerowały ubiegłej soboty pod sztandarami socjalizmu polskiego oraz partii socjalistycznych mniejszości narodowych — dały w sposób bezpośredni i niedwuznaczny wyraz swoim poglądom i dążeniom. Obok postulatów socjalnych i gospodarczych klasy robotniczej, masy te zadeklarowały swe przywiązanie do demokracji jako idei, oraz systemu, który rządzi we Francji, a walczy o swe istnienie w Hiszpanii.

Główny wszakże nacisk demonstracje pierwszomajowe położyły na **walkę o demokrację w Polsce**. Transparenty i okrzyki tłumów domagały się **rozwiązania obecnych ciał ustawodawczych, rozpisanie demokratycznych wyborów do Sejmu i Senatu, zniesienia Berezki**. Osiwały w bojach z carskim despotyzmem i reakcją, **Tomasz Arciszewski** tak sformułował na akademii w Teatrze Wielkim postulaty polityczne P.P.S.: „... klasa robotnicza zmagać się musi o wywalczenie podstawowych praw, które jej odebrano. Klasa robotnicza nie da zaprzęścić spuścizny po Rządzie lubelskim. Jeśli mowa o „konsolidacji” — to klasa robotnicza i włościńska zjednoczą się, ale nie na rozkaz. Pójdą pod sztandarami walki o pracę, o chleb, o Polskę Ludową”. Tak więc pierwszym momentem charakterystycznym pierwszomajowych demonstracji było to, że dały one wyraz **aspiracjom politycznym całej postępowej i demokratycznej części społeczeństwa**, aspiracjom, które w obecnych warunkach trudno byłoby wyrazić w innych okolicznościach (np. z trybuny parlamentarnej, kartką wyborczą).

Drugą cechą charakterystyczną ubiegłej soboty była **reakcja** na powyższe demonstracje, która przyszła ze strony **Stronnictwa Narodowego** i elementów pokrewnych. Nawiązując do „szczytnych” tradycji krwawych walk bratobójczych 1905 r. i zachęcając wzorami „bliskiego Zachodu” — endecja i jej młodzież podjęły się brzydkiej roli prowokowania socjalistycznych demonstracji. Liczebność tych prowokacji wskazuje na ich planowy i zorganizowany charakter. W Warszawie koło „Cafe Clubu” oraz u zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Królewskiej uzbójone w noże bandy „oenerowców” i „młodych” endecków wznośli antysocjalistyczne i antyżydowskie okrzyki, doprowadzając do zbrojnej utarczki, a koło gmachu B. G. K. rzucano petardę na pochód „Fracji Rewolucyjnej”. Najohydniejszą jednak była napaść na tyły pochodu „Bundu”, dokonana przez grupę tchórzów, strzelających pod osłoną świec dyminych w tłum kobiet i dzieci, na-

paści, której ofiarą padło życie pięcioletniego **Abramka Szenkera**. Ten haniebny czyn barbarzyńców został potępiony nawet przez „Warszawski Dziennik Narodowy”, chociaż już wiadomo, z jakiego „milieu” wyszli sprawcy dzieciobójstwa na ul. Smoczej.

Także na prowincji reakcja endecka prowokowała, gdzie mogła i jak mogła. Półoficjalna „Iskra” donosi o większych i mniejszych incydentach z endeckami we Lwowie, Krakowie, Łodzi, Częstochowie i Krzepicach. Najchętniej oczywiście napadała na pochody żydowskie. W Sosnowcu zaś t. zw. „Związek Polski” — endecka organizacja dla bojkotu gospodarczego Żydów — rozszerzył swoją działalność, kolportując... ulotki antysocjalistyczne.

Słowem: także pod tym względem widać obraz polskiej rzeczywistości politycznej, której znamię jest ścieranie się dwóch wielkich odłamów społeczeństwa: obozu **demokratycznego** i obozu **„narodowego”**.

A obóz rządowy? W przeciwieństwie do lat dawniejszych, ostatnio nie ma już właściwie jego zwolenników wśród demonstracji pierwszomajowych. Z.Z.Z. oddalił się poważnie od sanacji, a d. Frakcja Rewolucyjna nie przedstawia już w kraju żadnego znaczenia. Sam zaś obóz rządowy, występujący ostatnio w nowej postaci O.Z.N., znajduje się jeszcze w zbyt wczesnej fazie organizowania się, by móc zajmować stanowisko wobec walki wewnętrznej społeczeństwa i jej aktualnych przejawów.

Pozostaje więc rząd. Jego Szef, generał Stawoj-Składkowski, posiada pewną właściwość, która jest ceniona nawet przez politycznych przeciwników: z zagadnieniami życia państwowego lubi często zapoznawać się nie za pośrednictwem długiego łańcucha papierowego biurokratycznych raportów, ale bezpośrednio, **oko w oko**. Zasadzie tej Pan Premier pozostał wierny także 1. maja, obserwując z okna Ministerstwa Spraw Wewnętrznych pochody socjalistyczne. Szef rządu mógł się więc naocznie przekonać o liczebności i politycznej energii zorganizowanych mas robotniczych, stanowiących trzon obozu demokracji i postępu. Szef rządu mógł też usłyszeć okrzyki tłumów, domagających się demokratycznych reform politycznych. Pan Premier obserwował —

czy rząd, którego jest szefem także ograniczy się do roli obserwatora?

Święto 1. maja żydowskiego świata pracy zostało boleśnie zakłócone niewinnie przelaną krwią pięcioletniego dziecka żydowskiego, **Abramka Szenkera**, zabitego skrytobójczymi kulami zbrodniarzy. Ciężka żałoba socjalistów żydowskich jest naszą powszechną żydowską żałobą, albowiem tragedia, która rozebrała się ubiegłej soboty na ul. Smoczej w Warszawie urasta do znaczenia bolesnego symbolu sytuacji, w której się znajdujemy...

Okoliczności zewnętrzne spowodowały, że i tego roku żydowskie partie socjalistyczne nie mogły demonstrować wspólnie z P.P.S. — ale łączność ideowa została zachowana. W pepesowskim pochodzie nie zabrakło transparentów i okrzyków przeciw antysemityzmowi, a na akademii w Teatrze Wielkim wystąpili przedstawiciele obu żydowskich stronnictw socjalistycznych. Dla zrozumienia zaś pewnych rzeczy warto powtórzyć za „Robotnikiem” charakterystyczny szczegół, dotyczący obchodu 1. maja w Siedlcach: „Członkowie Związków Zawodowych, Żydzi, z powodu zakazu władz, udziału w pochodzie nie brali”. Sapięti sat.

Same zaś manifestacje żydowskie w Warszawie przeszły pod znakiem niewątpliwie siły **organizacyjnej** „Bundu” oraz ideowej stałości robotników syjonistycznych, kroczących pod sztandarami Ligi Palestyny Pracującej („Poalej Syjon”-prawica, „Hitachdut” i organizacje młodzieży). Robotnicy syjonistyczni demonstrowali za socjalizmem i demokracją oraz przeciw faszyzmowi — ale zarazem: za żydowską Palestyną i przeciw planom jej podziału, za masową „aliją”, za realizacją syjonizmu pracy.

„Orzeł Biały” dla Romana Dmowskiego

Kiedy jeszcze dwa miesiące temu, pod wrażeniem pierwszych enuncjacji twórców Obozu Zjednoczenia Narodowego, stwierdziliśmy na łamach „Steru”, że piśsudczycy „wkraczają świadomie czy ślepo na drogę, która przecież prosto prowadzi od Piśsudskiego do Dmowskiego” — to niektóre pi-

sma sanacyjne miały nam to stwierdzenie za złe. Dziś identycznie oceniają ewolucję sanacji już nie tylko polscy publicyści socjalistyczni (np. cytowany w poprzednim numerze głos M. Niedziałkowskiego) — ale także **pełnokrwistci sanatorzy!**

Dowiedzieliśmy się np. ostatnio (z górą miesiąc po zamknięciu sesji sejmowej i to za pośrednictwem prowincjonalnego pisma, którego redaktor zadał sobie trud szperania po stenogramach obecnego Sejmu), że na jednym z ostatnich posiedzeń sejmowych poseł **Wagner** ze Lwowa wygłosił charakterystyczne przemówienie, przemilczane przez całą prasę sanacyjną. Pan major Wagner, inwalida wojenny i stary piśsudczyk, oświadczył mianowicie, że prawdziwe zjednoczenie narodowe dokona się tylko wtedy, gdy przyciągnie się wybitnych przywódców endeckich, przede wszystkim zaś **Romana Dmowskiego**. Tyle p. poseł Wagner.

Natomiast kropkę nad „i” postawił, jak zwykle, „enfant terrible” sanacji, p. **Mackiewicz** z Wilna, domagając się koniecznie — udekorowania Romana Dmowskiego orderem „Orła Białego”. Motywacją swą p. Mackiewicz wykazał, że sam zasługuje na order, chociażby za zdolność orientowania się w sytuacjach. Czytamy w „Słowie”:

„Przecież powraca dzisiaj Polska do założeń Romana Dmowskiego. Tutaj ma rację Niedziałkowski, że deklaracja p. Kowalewskiego jest zajęciem pozycji Romana Dmowskiego.”

„Przecież powraca dzisiaj Polska...” Polska jak Polska — ale oficjalny obóz piśsudczyków istotnie powraca. Pod tym względem przyznajemy p. Mackiewiczowi rację.

„Założenia” stronnictwa Dmowskiego

Jakież to są te założenia Romana Dmowskiego, do których, według słów p. Mackiewicza, ma powracać Polska? Posłuchajmy, co nam na to odpowie „Warszawski Dziennik Narodowy”, który, w związku z uchwałami odbytej ostatnio sesji Rady Naczelnej Stronnictwa Narodowego, pisze:

„Stronnictwo Narodowe zawsze

stało na tym stanowisku, że wzmocnienie podstaw bytu narodowego oraz zdobycie dla Polski silnej pozycji w świecie łączy się ściśle ze sprawą ujęcia przez zwarty **zorganizowany naród** (podkreślenia „W. D. N.” — red.) losów państwa w swoje ręce. Każdy inny ustrój **niż ustrój państwa narodowego**, nie może dać Polsce **dostatecznych warunków** do spełnienia zadań, jakie postawiły przed nią jej położenie geograficzne i rozwój historyczny narodu.”

Założenia te, jak widzimy, nie są zbyt jasne. Dmowszczyki chcą ustroju państwa narodowego, bo w ich mniemaniu tylko ono umożliwi „ujęcie przez naród losów państwa”. Ale czy losy te i dotąd nie znajdowały się i nie znajdują w ręku narodu polskiego, który choćby z tytułu swego wielkośćowego stanowiska dominował w państwie? Tak wygląda **konieczność** państwa narodowego w Polsce, a teraz przyjrzyjmy się **możliwości** wprowadzenia u nas takiego ustroju. Wprowadzenie ustroju państwa narodowego w kraju, etnograficznie jednolitym — jest rzeczą prostą. Ale Polska nie jest etnograficznie jednolita, posiadając trzydziście kilka procent obywateli, należących do mniejszości narodowych. Państwo narodowe w Polsce oznaczałoby więc odebranie albo zredukowanie praw politycznych przeszło jednej trzeciej jego obywateli. Jeśli by więc takie ryzykowne przedsięwzięcie nawet się udało — to utrzymanie tego sztucznego stanu rzeczy musiało by być okupione permanentnym uciskiem mniejszości narodowych i marnowaniem ogromnych zasobów energii państwowej. Wszystko to nie jest najlepszą drogą do „zdobycia dla Polski silnej pozycji w świecie”.

Ale istotnym motywem „założeń” stronnictwa Romana Dmowskiego jest dążenie do eksterminacji „innorodców”, przede wszystkim zaś Żydów. Przypomnijmy więc sobie (w pierwszym zaś rzędzie: **innymi**), co **Józef Piłsudski**, Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz, mówił na tenże temat:

„Dziadziowie nasi pamiętaj! Innego czasu, jak czasy niewoli, czasy męki, którą naród cały tutejszy znosił: czy chrześcijanin, czy Żyd, czy Polak, czy Białorusin... Polska, której mam zaszczyt być przedstawicielem, polskie wojsko, któremu mam honor przewodzić, z chwilą uzyskania swej własnej swobody, z chwilą możliwości oddychania pełną piersią, postanowiło przeciwstawić systemowi gwałtu i przemocy system swobody.”

Uczniowie mogą się oddalić od nauk swego Nauczyciela, ale nauki te pozostają bez zmiany.

Zwolennikom

„ewakuacji”

Na innym miejscu dzisiejszego numeru „Steru” rozprawiamy się z pomysłami ewakuacyjnymi p. Żabotyńskiego, krytykując ostro jego orientację na antysemitów i pomoc ich w przezwyciężeniu oporu Arabów oraz trudności, czynionych przez Anglię w stosunku do realizowania syjonizmu. Krytyka nasza znajduje pełne potwierdzenie w artykule „Warszawskiego Dziennika Narodowego”, który pośrednio może być uważany za odpowiedź antysemitów na ofertę p. Żabotyńskiego:

„Polska nie może interweniować dla wygody Żydów (przeciw Arabom) i nie powinna mieszać się do konfliktu żydowsko-angielskiego, ponieważ istotą tego konfliktu nie jest zagadnienie emigracji, lecz nadmierna zachłanność Żydów w stosunku do Arabów”.

Nie warto polemizować z całkowicie błędną motywacją endecków — istotniejszą bowiem rzeczą jest sam pogląd, który wysuwają. Otóż nasi antysemita chcieliby pozbyć się Żydów, ale nie chcą im nawet pomóc w powiększeniu możliwości emigracji do jednego kraju, **obiektywnie** wchodzącego w rachubę. Tacy już są nasi antysemita, tacy też byli zawsze. Niczego się nie nauczyli. Nawet lekcje „ewakuacyjne” p. Żabotyńskiego też nie pomogły. Zaostrzyły tylko endecki apetyt — nic więcej...

OD REDAKCJI.

Powtórnie przypominamy wszystkim, nadsyłającym swe prace do redakcji, że **rekomendacji nie zwracamy**.

Redakcja nie może zatem uwzględnić życzeń tych wszystkich, którzy proszą o zwrot nadesłanych rękopisów.

Wobec tego bezcelowe jest załączanie do listów znaczków pocztowych na porto.

Z zagadnień polityki palestyńskiej

PALESTYNA BAZA MILITARNA?

Prasa angielska doniosła ostatnio, że w związku z zmianą prawnopństwową stosunków w Egipcie, **naczelne dowództwo wojsk brytyjskich na Bliskim Wschodzie**, ma być przeniesione z Egiptu do Palestyny, a mianowicie do Jerozolimy lub Haify. Pisma angielskie dodają do tej wiadomości, że Komisja Peela opracowując swe sprawozdanie, uwzględniła te militarno-strategiczne zmiany i doszła do wniosku, że zalecenia jej będą łatwiejsze do przeprowadzenia w związku z powyższymi przedsięwzięciami wojskowymi. Podział Palestyny stworzy możliwość przekształcenia Jerozolimy i Haify na bazę militarną i brytyjską kolonię, albo też pozostawienia ich pod brytyjskim regimem mandatowym.

Pogląd ten rzuca ciekawe światło na

poboczne względy, które ogrywają rolę w politycznych kołach Anglii przy omawianiu sprawy mandatu palestyńskiego. Charakterystyczne, że jeszcze ubiegłego roku dawaliśmy w Palestynie słyszeć głosy, że koncentracja wojsk angielskich w kraju jest dyktowana nie tyle koniecznością zwalczania terrorystów, ile właśnie tendencją do wzmocnienia militarnej bazy Anglii w tej części Imperium, skoro rola Egiptu, jako punktu militarnego, wydatnie się zmniejsza. Hypotezy te do pewnego stopnia potwierdzają ostatnie wiadomości, mimo, że dotąd trudno jeszcze zorientować się, w jakim stopniu plany te ulegną urzeczywistnieniu.

Nie jest pozbawiona pewnej pikantnej okoliczności, że właśnie Palestyna, kraj czczony przez wielkie religie świata, a w szczególności Jerozolima — miały być przekształcone w centrum wojskowej potęgi. Mandat nie przewiduje wyzyskiwania terytorium mandatowego dla celów wojskowych. Mandat w swoim czasie powierzono Anglii w nadziei, że Palestyna znajdzie pod ochroną potężnego Imperium zapewnienie pokojowej przyszłości. Wtedy prawdopodobnie — przynajmniej w pewnych idealistycznie nastrojonych kołach — nie przypuszczano, że w Świętej Ziemi stworzy się kiedyś militarny ośrodek!

Historia wszakże nie liczy się z takimi sentymentalnymi uczuciami; nie liczyła się ona nimi także na przestrzeni przeszłości w okresach, gdy militarno-strategiczne znaczenie Palestyny potęgowało się na tle ówczesnych systemów polityki światowej. My, Żydzi, musimy wszakże z drugiej strony przyznać, że militarna ochrona Palestyny przez Anglię posiada duże znaczenie dla zachowania spokoju i porządku w kraju.

SUWERENNOŚĆ?

Projekt, który — jak głoszą wieści — ma być wysunięty przez Komisję Peela, a zwłaszcza ta część, która dotyczy stworzenia **dominiumu żydowskiego o prawach państwowych**, oznacza niewątpliwie dużą pokusę. Należy więc z drugiej strony z naciskiem podkreślić, że w obecnej fazie żydowskiego dzieła odbudowy Palestyny, gdy także w granicach ewentualnego dominium żydowskiego istnieje będzie (przynajmniej szacunkowo) **wielkość arabska**, nie może wśród nas występować zbyt silne zainteresowanie dale-

ko idącą suwerennością. W obecnej sytuacji światowo-politycznej wydaje się mało pożądane obdarzenie dominium żydowskiego możliwością i koniecznością podejmowania pewnych decyzji, które bardzo łatwo mogłyby doprowadzić do konfliktów interesów z **innymi krajami** przez co sytuacja przebywających w nich Żydów stałaby się rzeczywiście ciężką. Do tego nie musi się tu rozchodzić o sprawy t. zw. „wielkiej polityki”, ale n. p. o trudności natury polityczno-gospodarczej. Ale także regulowanie **tempa imigracji** musiało by doprowadzić do poważnych konfliktów z Żydami na świecie, widzących w żydowskim tworze państwowym wentyl na własną niedolę. Zatem to właśnie, co niektórzy traktują jako „**ekwiwalent**” za podział kraju, zawiera **główne niebezpieczeństwo projektu**, znacznie bardziej ważne niż ewentualne jego strony dodatnie.

Nadanie suwerenności już w obecnej fazie może stać się dla nas źródłem niebezpieczeństw. Okazuje się więc, że sprawy tej nie należy traktować wyłącznie z abstrakcyjnego punktu widzenia i na tle pewnych utartych pojęć — ale tylko na tle politycznej rzeczywistości stadium, w którym praca żydowska w Palestynie znajduje się obecnie. Nie jesteśmy tylko zainteresowani w **fikcjach** niezależności, ile w zapewnieniu realnych możliwości rozwoju naszej pracy.

POKÓJ W KRAJU NACZELNYM NAKAZEM.

Przezwyciężenie obecnych trudności nie da się osiągnąć bez ofiar z naszej strony. Jasne jest, że także strona arabska musi ponieść ofiary, które w porównaniu do wysuwanych przez nich żądań, będą w każdym razie bardzo poważne. Rozumie się, że wysuwając z naszej strony plan uregulowania spraw palestyńskich, musimy przede wszystkim kierować się żywotnymi interesami żydowskiego dzieła odbudowy. **Musimy wszakże uznać, że zapewnienie pokoju w Palestynie jest naczelnym nakazem naszej taktyki politycznej**, wobec którego ustąpić muszą wszystkie inne względy polityczne i. że nie jest to bynajmniej skutkiem słabości i skłonności do kompromisów za wszelką cenę, ale konsekwencją woli do kontynuowania pracy żydowskiej w Palestynie we wszystkich warunkach.

J. R.

O. Z. N. i Żydzi

(Dokończenie ze str. 1-ej)

będzie wówczas żądał od **Yankesów** pozbawienia Polaków praw obywatelskich? P. Koskowski wreszcie nie wie, widać, o ostatnich enuncjacjach rządu Czeskosłowackiego w kwestii praw narodowo-kulturalnych i obywatelskich tamtejszych Żydów.

A ponieważ jesteśmy obywatelami Państwa Polskiego — nie możemy być ograniczeni w prawach za należenie do mniejszościowej grupy narodowościowej, i to ani w drodze ustawowej, ani w drodze usunięcia nas od współodpowiedzialności za Państwo przez monopolistyczne zagarnięcie całej władzy przez jedno etniczne — polskie ugrupowanie polityczne — chyba że to ostatnie obejmie rzeczywistość większość obywateli Państwa. I od wypowiedzenia się wyraźnego w tym przedmiocie, t. zn. w kwestii demokracji więcej jest zależny stosunek Żydów do nowego obrotu, niż od sprawy przyjmowania osób pochodzenia żydowskiego na członków.

Tak samo stosunek Żydów zależny jest od ujęcia kwestii gospodarczej eksterminacji Żydów. Czy OZN zmierza tylko do rozwoju i wzmocnienia stanu średniego polskiego droga normalna, drogą konstruktywną i swobodnego zdrowego współza-

wodnictwa, czy też drogą usuwania Żydów środkami sztucznymi i obejmowania odebranych placówek. Pierwszą drogą zakreślił inż. Barański w Wilnie i — poza pewnymi odchyleniami mniejszej wagi (trudno cośkolwiek tej drodze zarzucić, Polska jest dość wielka, ma jeszcze dużo miejsca dla wszystkich. W słowach pułk. Kowalewskiego, który dużo lat spędził w Rumunii, dało się już wyczuć co innego. To, a nie kwestia przyjmowania Żydów, winno zadecydować o ustosunkowaniu się żydowskiego społeczeństwa. Na to chcemy otrzymać wyraźną odpowiedź na przyrzeczonej konferencji, uprzedzając zawczasu, że „walka” a „współzawodnictwo” — to nie jest jedno i to samo.

No, i wyraźniejsze określenie zwrotu o „samoobronie kulturalnej”. Czy to znaczy, żeby rozwinąć własną kulturę, żeby np. akademicy się uczyli, a nie robili awantur, czy też to znaczyć ma, że Żyd nie może być profesorem w uczelni polskiej, aktorem w teatrze polskim i t. p. Bo to ostatnie — to już nie „samoobrona kulturalna”, tylko poprostu ograniczenie praw obywatelskich mniejszości. Sądźmy, że i to zostanie sprecyzowane.

Roman Brandstaetter

MURZYN W PIKELHAUBIE

Kolonialna polityka Niemiec zawsze biegła zygżakowatą linią, była niezdeterminowana i chwiejna. Ongiś zachciało się Hohenzollernom czarnych jak mahoń kolonii murzyńskich, puszczy, ziem słońcem ogorzalych, przeżartych skwarem zwrotnikowym. A skoro wreszcie kolonie na giełdzie międzynarodowej polityki wyszachrował kabaretowy cesarz Wilhelm II — nadęte piwem Michle, brzuchate i zziębnięte, wlochałe i spoczone, poczęły powoli napływać w te kraje afrykańskie, ciąć liany toporami, wsie schłudne zakładać, fabryki budować i wojska swoje rozmieszczać w trzcinowych koszarach. Za wojskiem Marlenki ruszyły i kabarety i tancbudy i primasorta-baleriny i kantyny i alfonsie i kombinatory i jakieś ciemne frotry i awanturnicze nasienie i wódzia się lała suto pod takt piszczałek murzyńskich i dźwięcznych bębnow. W koloniach rychło zapanowała górna kultura, syfilis począł się szerzyć na gminie wśród murzynów, lecz cesarski sztabar wysoko i dumnie powiewał na kamiennych fortach panujących nad okolicą. Lecz jak wiadomo Niemcy utracili tę dzunglę w czasie wojennej awantury — kolonie nie złe zagospodarowane, naszpikowane inwestycjami, omaszczone cennym złotem, ale mało rentowne, złe się procentujące, raczej trzymane w łapach dla prestiżu niż dla zysku. Tak! Dla prestiżu! Bo choć pieniądze ze wszystkich banków ówczesnej Rzeszy szerokim strumieniem płynęły do kolonijnej gardzieli, choć rząd reichsmarkami obysypywał ten chudy skrawek swych zamorskich posiadłości, choć na szybką rozbudowę kraju udzielał długoterminowych pożyczek kompaniom handlowym, przemysłowym i budowlanym — jednak te wszystkie machinacje pod żadnym względem nie rozwiązywały palącego problemu uzyskania własnych surowców, ani nowych i dogodnych terenów dla lokaty kapitałów. Zamraża się kapitał w kolonii, a surowiec do niemieckiej ojczyzny napływał tylko w mizernych porcjach, a po bardzo wysokiej cenie. Nie opłacała się eksploatacja, czyli skórka za wyprawę. A Anglii uparcie konkurowali i tego samego surowca dostarczali z 50%-owym rabatem firmom niemieckim loko Hafenstadt Hamburg. Krach! Krach! Krach! Gospodarczy krrrrach! A nadomiar złego powikłania polityczne i z Anglikami zadzierki i z Anglikami co raz większa konkurencja na europejskich rynkach i znowu ciągle tarcia, podniecanie wilhelmowska arogancja, wilhelmowska buta, wilhelmowskim tupetem, wilhelmowską wściekłością.

Więc nic dziwnego, że po przegranej wojnie Adolf Hitler w „Mein Kampf” oskarżył o bezmyślność całą kolonialną politykę Niemiec przedwojennych, a ich lekomyślnych twórców uczynił odpowiedzialnymi za wszystkie nieszczęścia, które spadły na Rzeszę. Informuje nas dokładnie o tej sprawie Rene Dollé, który tak charakteryzuje stosunek Hitlera do zagadnień niemieckich kolonii:

W książce swej „Mein Kampf” podaje Hitler ostrej krytykę przedwojenną politykę zagraniczną Niemiec. Krytykuje on dążenie niemieckiego imperializmu przedwojennego do stworzenia potężnego niemieckiego mocarstwa kolonialnego, którego możliwości były nader ograniczone. Ta okoliczność, że Niemcy wystąpiły na arenę światową bardzo późno, dopiero wtedy, kiedy najlepsze kolonie były już podzielone pomiędzy Anglię, Francję i innych imperialistycznych zaborców, postawiła Niemcy przed alternatywą bądź zadowolenia się mizernymi okruciami posiadłości kolonialnych, co w żaden sposób nie rozwiązywało problemu zdobycia własnych źródeł surowców, bądź też zmierzania się w starciu zbrojnym z potężnym imperializmem angielskim, po którego stronie musiał przecież stanąć odwieczny wróg Niemiec — Francja. Owocem tej fałszywej polityki widzi Hitler w porażce Niemiec w wojnie światowej i w osłabieniu Niemiec po pokoju Wersalskim. Nabrał wówczas Michel wielkiego wstrętu do kolonii. Jakiegoś idiosynkrazji. I wszystkie Michle, skoro tylko słyszały o koloniach, dostawały zgagi i mdłości i zawrotów głowy i czkawki. Ohej! Kto się na gorącym sparzył, ten potem na zimno dmuchał! Przeto przez długie lata dmuchał Michel na podzwrotnikowe kolonie, z wdzięcznością patrząc na fährera, który ziomkom wytłumaczył, że te kolonie to wielka brechta nierozwiązująca niemieckiego zagadnienia gospodarczego. Tłumaczył wówczas fährer, że trzeba wzrok skierować na słowiański Wschód, na ów doskonały teren pod niemiecki zabór, pod niemiecką racjonalną politykę agrarną:

„Zaczynamy tam, gdzie skończono przed sześciu stuleciami. Powstrzymujemy odwieczny pochód Germanów. ku Południowi i Zachodowi Europy i zwracamy wzrok ku krainie na Wschodzie. Zamykamy wreszcie politykę kolonialną i polityczną okresu przedwojennego i przechodzimy do agrarnej polityki przyszłości. Tylko w zdobyciu nowych terenów w samej Europie istnieje dla

Niemiec możliwość racjonalnej polityki agrarnej” („Mein Kampf”, str. 153).

Tak pisał — Adolf Hitler. I wrócił — do Europy. Zrezygnował z kolonii afrykańskich, a począł marzyć o koloniach w Europie. Zrezygnował z afrykańskich murzynów — a pomarzył sobie trochę o białych murzynach Europy. Białe czy czarne murzyna w pikelhaubie? Białe murzyna! Począł więc Hitler wśród swoich propagować hasła „Drang nach Osten”, idee zaboru i imperializmu na kontynencie — stworzywszy uprzednio wielki program walki o bazę surowcową nad Wisłą, Dniestrem, Dnieprem, Wołgą. I w ten sposób powstał w umyśle Hitlera wielki program polityki zagranicznej w Europie, z wyeliminowaniem polityki kolonialnej, której rekompensatą miał być właśnie ów inwazyjny marsz na Wschód. Na Rosję Sowiecką. Ten wielki, napoleoński, bereszyński program brzmiał następująco:

„Wyjadając Rosję na łup bolszewizmu, ograbiono naród rosyjski z inteligencji, która dotychczas stanowiła o istnieniu jego jako państwa i zapewniała jego istnienie. Powstanie bowiem państwa rosyjskiego było nie rezultatem państwowo-twórczych zdolności rasy słowiańskiej w Rosji, lecz raczej jedynie wspólnym przykładem działalności państwowo-twórczej elementu germańskiego wśród rasy o małej wartości. Od wieków żyła Rosja kosztem germańskiego

ośrodka swych górnych warstw rządzących. Ośrodek ten należy dziś uważać za niemal zupełnie wytepiiony i zniweczony. Miejsce jego zajął Żyd. Tak samo niemożliwe jest dla Rosjan zrzućnię żydowskiego jarzma własnymi siłami, jak dla Żydów utrzymanie na dłuższą metę potężnego mocarstwa... Ołbrzymie państwo na Wschodzie dojrzało do upadku. I koniec panowania Żydów nad Rosją będzie również końcem bytu Rosji jako państwa. Los wybrał nas na świadków katastrofy, która będzie jak najbardziej dobitnym potwierdzeniem słuszności narodowej teorii rasowej”. (Hitler, „Mein Kampf”, str. 742 i nast.).

Drang nach Osten! Motorowe pługi niemieckie łakną ziemi! Niemcy są głodne i przeludnione! Niemcy chcą jeść! Na wschodzie ciągną się żyzne ziemie, brązowe płenne, nagnojone dobrze, miód — nie skiba, mleko — nie deszcze, wino — nie rosa, kłosa ciężkie jak korony drzew, ziarna wielkie i mięsiste jak jabłka. Więc Alfred Rosenberg w swym plagiacie „Mithos des XX Jahrhunderts” już drogi na wschód mości niemieckim żniwiarkom, już potokiem wielkopolskim kaze koła młynów niemieckich obracać, a Polaków ku wschodowi odrzuca ostrym pchnięciem wysuniętych naprzód skrzydeł napierającej armii Trzeciej Rzeszy:

„W walce o życie, o honor, o wol-

ność, o chleb dla narodu tak twórczego, jak Niemcy, nie można liczyć się z narodami bezsilnymi, bez wartości i leniwymi, jak Polacy i Cześć. Trzeba odrzucić je na Wschód, aby uczyniły miejsce dla pługów chłopów niemieckich... Wtedy rozpocznie się nowa epoka kultury białego człowieka”.

Hitler w poszukiwaniu zaplecza agrarnego jasno skonkretyzował kierunek panimperializmu niemieckiego: na wszystkich szosach Trzeciej Rzeszy ustawił drogowskazy Wschód wskazujące — urodzajne pola nadwiślańskie, drobną pszenicą rozkołysane, huty gorejące w ogniu palenisk Górnego Śląska, kopalnie węgla rozbrzmiewające hukami wind i łoskotem mechanicznych świrdrów, piaszczyste wybrzeża polskiego Pomorza pazurem w Bałtyk zaryte, w zielony Bałtyk, w siny odmęt morza opływającego szerokim półkolem zatokę gdyńską (Gdingen) po złotą łacę Helu (Hela). A potem ruszy się w tej błogiej sieniawej przyszłości na Z.S.R.R. poprzez czarnomorski szlak, poprzez Ukrainę na Zagłębie Donieckie, na Zakłady Dnieproostroju, hen może aż ku Baku naftą tryskającego, — i handlowy trakt hamburski połączy się z traktem odesskim, biegnącym na Daleki Wschód. Tu na odwiecznym szlaku kupieckich rywalizacji, w zbożowej bazie Europy, na doskonałych terenach eksploatacyjnych dla kolonizacji niemieckiej — Niemcy roznieciwszy separatyzm

ukraiński w Z. S. R. R. do życia wolną Ukrainę powołają pod swoim protektorem, i stworzą wspólną granicę niemiecko-ukraińską. Ukraina — nowy Kamerun! Oto co pisze Rosenberg:

„Jeśli tylko zrozumiemy — szczerze wyznaje Rosenberg — że zmniejszenie państwa polskiego jest pierwszym i koniecznym warunkiem polityki Niemiec, to sojusz między Kijowem a Berlinem oraz stworzenie wspólnej granicy stanie się dla przyszłej polityki niemieckiej koniecznością narodową i państwową”.

Jeszcze szczegółowiej wypowiada swój sąd o tych panujących sprawach siwy komtur krzyżacki von Seeckt, który w publikacji „Deutschland zwischen West und Ost” taki snuje plan strategiczny „wschodniej” kampanii niemieckiej:

„Niemcy muszą walczyć nie z Sowietami, lecz z Polską. Odrodzenie mocarstwostanowiska Niemiec napotyka na przeszkodę w postaci Polski, która zachowując „korytarz”, posiada doskonałą pozycję strategiczną przeciw Niemcom. Dopiero po pokonaniu Polski staną się zwycięskie Niemcy potęgą, przed którą uchyla czoła pozostałe mocarstwa kapitalistyczne; będą one wówczas zmuszone uznać prymat niemiecki w walce z Z.S.R.R. i wtedy dopiero wybije godzina tej walki”.

Więc w ciszy domowych pieleszy, na rodzinnym łonie, kurząc krótką fajkę w czas spokojnych wieczorów — marzył Michel o podboju Wschodu europejskiego, o zdobyciu szerzoch i żyznych pól. Ale wnet się przekonał, że marzeń swych nie zrealizuje, gdyż na Westerplatte jak mur stoi posterunek polski, na gdyńskich fałach kołyszą się siwe kontrtorpedowce pod biało-czerwoną banderą, w CSR budują już nadgraniczne fortyfikacje i raz po raz urządzają wielkie manewry nad niemiecką granicą. Gulasz z „Drangu”. Ani w lewo, ani w prawo. Po lewej stronie „Linia Maginota”, po prawej — słowiańska reduta. I nic. Tylko się udusić. A w kraju coraz gorzej. Masła jak nie ma, tak nie ma, ilość bezrobotnych z dnia na dzień rośnie, w skarbcu u Schachta — puchy, w podziemiach roi się od opozycji, a urzędy apro wizacyjne już kartki żywnościowe wydają. Przed sklepami długie kolejki cierpliwych Michłów są głodni. Masła z armaty nie wyszłesz. Żle, żle, żle. Przeto jakim nowym fajerwerkiem w oczy zaświecić wygłodniałym rodakom, aby nie sposzregli bezdennej katastrofy? Marzenia o białym murzynie w pikelhaubie — zawiodły. A czarny murzyn w pikelhaubie? Czyż znowu do niego powrócić? I oto w takiej chwili zdecydował się Hitler na desperacki gest. Nie pomny swych dawnych ostrzeżeń — wzrok skierował na kolonie. Począł w tajemnicy prowadzić narady ze Schachtem, aż wreszcie — przyznawszy rację wywodom sprytnego dyrektora zaakceptował jego kolonialną politykę, którą finansman jeszcze przed laty w tych słowach skonkretyzował w swej publikacji o gospodarczej strukturze powojennych Niemiec:

„Dzisiaj jednak i przez długi czas jeszcze nie ma prostszego rozwiązania kwestii przepełnienia dawnych obszarów państwowych, jak otwarcie nowych obszarów. W kwestii takiej polityki kolonialnej będziemy się musieli jak i w wielu innych sprawach, wyzwoleć od nabytych tendencji. Panowanie kolonialne powstawało dotychczas w bohaterkiej idei zdobywczej. Dzisiaj prze nas do polityki kolonialnej gorzka konieczność gospodarcza... Gdyby mocarstwa zwycięskie pozostawiły Niemcom ich dawne posiadłości kolonialne, które żadnemu z nich nie były potrzebne, to owe niezwykle trudności społeczne i gospodarcze, z jakimi spotykają się dziś wywłaszczone Niemcy, byłyby poważnie zmniejszone i utraciłaby swój groźny dla pokoju i dobrobytu świata charakter”.

Więc Hitler zrezygnował z dotychczasowej kolonialnej abstynencji, jednym ruchem ręki przekreślił dotychczasowy antykolonialny program, zwrótnie błyskawicznie zweekłował i wyjechał z nowym wielkim programem, w którym zażądał zwrotu afrykańskich posiadłości. Tragiczny gest! Ostatnia deska ratunku! Jeszcze włąły błysk nadziei! Już ledwo tlejącej Dogasajacy! Zurück! Niechaj znowu nad Kamerunem (Szolca-Rogoznińskiego, Polaka) niemiecki sztandar powiewa! O, musi być już w Niemczech bardzo źle, skoro Michle znowu dosiadają cesarskiego walacha, już ledwo ogonem poruszającego.

Więc cóż? Dać, czy nie dać?

Dać! Oddajcie im kolonie! Niechaj w Europie nastąpi odprężenie! Niemcy frontem do Afryki! Niechaj tam idą! Niechaj ładują znowu w Kamerun ostatnie swoje reichsmarki! Bo znowu tam ku chwale wybawionej Europy — na czarnych murzynach w pikelhaubach — kły i pazury polamia. Jak ongiś. Na kółkach kolonii. Kółce klują śmiertelnie.

Satyra

Ballada o poecie-alkoholiku, który w Warszawie, w szynkowni na Wolskiej, środek znalazł na zbawienie świata

Chandra mnie tłucze piękna, majowa,
W poszumie liści młodych i polskich —
Więc się urzynałem, w sztok się zalałem,
Zakiełszylem w szynku na Wolskiej.

Truję i cynam, ciągnę i koszę,
Trąbię i chleję i źle mi ciągle.
Noc nalaną siwym ołowiem.
Swąd w atmosferze. Skowyczą kondle.

I wszystko boli. Boli Jewropa.
Liga Narodów. I drańskie matje.
I rodak Radek. Walencja, Madryt.
Czarny rok Rouquę'a i gaffa w Jaffie.

Jakże więc w głowie pijackiej zmieścić
Te wszystkie zbrodnie szlachetnych durniów —

W kleistym błoście lepkim czapiący
Turkot historii, łoskot koturnów!

Przez ciałko nasze — luna płomieni!
Przez ciałko nasze — śmiertelne krzyki!
Wśród gęstych wiązków kolczastych
drułów

Ostatnie dzisiaj nucią słowiki.

Ubić się, wrznąć na własny umór,
W czystej, przeczystej wreszcie utopić
Ciebie, pływacza po naszych karkach
Storpedowana łodzi Jewropy!

A wówczas światby odetchnął z ulgą,
Szerokim wirtem wolnych błękitów,
Zbawion od czarnych i od brązowych,
Od wszystkich gojów i wszystkich ży-
dów.

A dyktatorów zabrałby Pan Bóg,
Ministrów trzepał w niebiosach wal-
nie, —

I kalesony królewskich mości
Pratylby jakieś gwiazdziste pralnie.

I nawet cenzor pod moim wierszem
Skreśliłby wówczas z miną dzieciną:
— Tak jak Brandstaetter. winno się
pisać,

Tak się mój panie pisać powinno. —

I hulby shokój. Fairant i shokój.
Święty porządek. Hm, niedorzeczność?
A potem — zgawa. A potem — ryga.
Potem — ból głowy. I znow — wó-
deczność.

Wszystcyby truli i się cmokali
I wymyślali od takich symbóli —
Gdyby tak psiakrewo cała Jewropę
Łupała chandra na Wolskiej w szynku.

Gdyby tak cała dzisiaj Jewropa
Czula pod szerszną gazową maską
Polską woń łici — polski alkohol —
Warszawską nudę, wiosnę warszawską.

Ballada o zacnym grandzie hiszpańskim Sancho Merdzie i o czerwonej milicjanice Carmenie

„Jesteśmy szlachciami i dżentelmenami! Więc walczyć będziemy do ostatniej kropli krwi. A nawet po śmierci duchy nasze toczyć będą zaciętą walkę z czerwonym najazdem. Oto — mistycyzm duszy hiszpańskiej. Pamiętajcie, że jesteście dżentelmenami!”

Z przemówienia gen. Molla do żołnierzy w głównej kwaterze rebeliantów w Burgos.

Piszczą piszczele. Noc cholerna.
Deszcz cieknie ciurkiem. Jęk i stęk.
Na kruchych krzakach się kołysze
Polnych różyczek zmięty bęk.

I nagle, — luna. Szrapnel pęka.
Wytrysnął w górę ognia słup.
Usiadł nad rzeką Quadalkwiwir.
Faszysty Sancho Merdy trup.

Cyprysy szumią. Gra granatów.
Noc z ciemnym diablem wzięła ślub.
Usiadł nad rzeką Quadalkwiwir.
Czerwonej Carmen siny trup.

Wyje wichura. Kot na płocie.
Już mieli wstać w ciemny grób,
Gdy na Carmeny spojrzal trupa
Faszysty Sancho Merdy trup.

Jesteś — zagrzytał Sancho Merda —
Dzisiaj ostatnia z moich prób! —
I skoczył nagle na Carmenę
Faszysty Sancho Merdy trup.

A potem znowu na odmianę
Do krwawej Carmen runął stóp —
(Piszczą piszczele. Noc cholerna).
Faszysty Sancho Merdy trup.

Puszczyk zakrzytał. Diabli ogm.
Trupy się wala: łup i łup —
Właził na faszysty Merdy trupa
Czerwonej Carmen siny trup.

I tak się prali i grzmocili
I wywerali oczy w ślup
Czerwona Carmen. czarny Merda,
Grand z milicjaniką, z trupem trup.

Aż wzeszedł ranek. Szlachcic ziewnął.
Czławka go dusi. Spojrzal w grób.
I wstał sennie w swą mogiłę
Faszysty Sancho Merdy trup.

A gdy już Merda leżał w grobie,
Sporzał na górę: chlup... chlup... chlup...
Mohnie na deszczu, w błoście, we mgle
Czerwonej Carmen siny trup.

Więc rzekł jej szlachcic dżentelmeńsko:
— Donno, pozwól mi w grób,
Na deszczu moknąć? Tu się jeszcze
Wygodnie zmieści jeden trup. —

Piszczą piszczele. Noc cholerna.
Deszcz cieknie ciurkiem. Jęk i stęk.
Na kruchych krzakach się kołysze
Polnych różyczek zmięty bęk.

ROMAN BRANDSTAETTER.

Stefan Pomer

BALLADY MANGERA

ICYK MANGER: „Demerung in szpigel”. Wydawnictwo Żyd. Pen-Klubu. Warszawa, 1937, str. 108+4 nrl. Z portretem autora. Okładka M. Reifa.

W ciągu kilku ostatnich lat nazwisko I. Mangera wysunęło się na czoło poezji żydowskiej. Manger jest już dziś uznawany bez zastrzeżeń jako jeden z najznakomitszych współczesnych liryków, a jego twórczość, choć tak bardzo zdawałoby się „nie-współczesna”, przekornie indywidualna, zaciekle staroświecka, diametralnie sprzeczną z aktualnymi nastrojami chwili, zyskała sobie powszechne uznanie, wzięcie, ba nawet — jeśli to w ogóle możliwe w dziedzinie dzieł liryki — popularność.

Przed nieledwie dziesięcioma laty, zaczął ten młody poeta ogłaszać w czasopiśmie pierwsze swe utwory. Były to ballady, zaśpiewy, piosenki, oparte na motywach ludowych. Odnaczały się one przedziwnym lirycznym tonem, pełnym tajemniczego czaru i zniewalającej muzykalności. Gdy w r. 1929, ukazał się pierwszy zbiór ballad Mangera „Stern oifn dach” od razu stało się wiadomym, że poezji żydowskiej przybył nowy, wybitny talent. W kilka lat potem przybywa Manger do Warszawy i tu wydaje rok po roku tom po tomie: „Lamtern in wind” (1933), „Chumesz lider” (1935), „Megile lider” (1936), „Felker zingen” (1936), „Welwel Zbarażer szrajbt brif cu Małkele der szajner” (1937) i wreszcie w ostatnich dniach „De-

merung in szpigel”.

Manger jest synem ubożego krawca z Jass. Wyrósł z samego dna żydowskiego ludu. Pochodzi ze środowiska najbardziej iżennie i prawdziwie ludowego. Nad jego kołyską kwiliła bieda i szczywały krawieckie nożyce do wtóru rzewnym kołysankom o „rodzynekach i migdałach”. Nad jego dzieciństwem unosiły się czarodziejskie klechdy o świętobliwym prostaczku z Pokucia „Bal-Szemie”, a jego młodość smakowała w młodym winie rumuńskim i w groteskowych anegdotach uciecznych trefniów i karczemnych diogenesów żydowskich: Herszele z Ostropola i Froima z Gródka.

Dziadek Mangera był „bałagula”, t. j. owym trywialno-romantycznym pocztyniorem żydowskim z ubiegłego stulecia, co łagodnym truchtem swej stoickiej szkapry przemierzał w rozlicznych podróżyach wołosko - podolskie trakty.

To też ten syn rumuńskiego krawca i wnuk „bałagula” zespolił w swej poezji melancholie wołoskich stepów, tęsknotę po dolskich gościńcach, muzykalność cygana i sentyment żydowskiej piosenki. Dzięki niemu słowiański krajobraz brzozowych gajów, przy gościńcach, płaczących wierzb nad strumieniami, wiśniowych sadów i łanów pszenicznych — krajobraz dumek ukraińskich, mistycznych okław Słowackiego i fujarkowych piosenek Szewczenki został uświetniony w żydowskim słowie i

melodii. Ten poeta żydowski ze smętnej Wołoszy, objający się po brukach europejskich miast, stał się wyraziście sielskiej duszy żydowskiego ludu, piewą jego odwiecznego zespolenia z piękną ziemią słowiańską. Ballady Mangera, w których smutek i groteska, głęboka religijność i błazeński żart, rzewny sentyment i cyniczny paradoks rozbrzmiewają naprzemiennie, jak instrumenty w orkiestrze — stanowią najdoskonalszy, a zarazem prawdziwie artystyczny, swoiste odrębny wyraz żydowskiej poezji ludowej.

Instynkt prawdziwego poety wskazał niechybnie Mangerowi, że w tej poezji ludowej znajduje dla swej twórczości wiecznie bijące źródło prawdy i natchnienia, a głęboka kultura poetycka pouczyła go, że tylko związek z rodzimą ludowością i oparcie o rdzennie narodowy grunt daje poezji siłę anteuszową oraz rozpiętość, walor i wydzwięk wielkich arcydzieł. Nikt bodaj we współczesnej literaturze żydowskiej nie jest tak bliski, jak Manger rodzinnej twórczości ludowej. Jego twórczość możnaby wywieść z trzech źródeł: Przede wszystkim z opanowania współczesnej kultury poetyckiej, następnie z uświadomienia żydowskiej piosenki ludowej i wreszcie z duchowego powinowactwa z żydowską tradycją literacko - ludową, ze świadomej, twórczej wspaniałej kontynuacji ludowo-żydowskiej legendy literackiej, stworzonej przez bezimiennie pokolenia śpiewaków i

wagantów, owych „batchenów”, „klezmerów” i „magidów”, którzy byli „Minesangerami” ghetta, którzy jak dawniej Suesskind von Trimberg, jak Eljahu Bachur, objężdżający za czasów średniowiecza wory rycerskie i zamki Raubritterów z piękną natchnioną i lutnią dźwięczącą tonami psalmów Dawidowych — przeciągali po idyllicznych miasteczkach, śpiewali, grali i poetyzowali na jarmarkach i w karczmach, na uroczystościach rodzinnych, w izbach bogaczy i na almenorach bóżnic — i w których piosence, zaśpiewie i natchnionym słowie, ulotnym, przemijającym, niepisany, zaginionym żyła, tęskniła, płakała i radowała się przez długie wieki dusza żydowskiego-ludu.

Od tych to bezimiennych „Brodskich śpiewaków”, o których już dziś słychać zagiął, od komedianów goldfadenowskich, których jeszcze pamiętają nasze babki, od bazarzy wołoskich karczem, o których przetrwały już tylko fantastyczne wieści, wywodzi się w prostej linii poezja Mangera. Manger nawiązuje do nich nie tylko w swojej poezji w grotesce lirycznej, w swoistym balladowym tonie, w skromnym wdzięku prymitywno naiwny kantyleny, ale poświęca im też przepyszne esaje, pełne werwy, temperamentu i zadzierzwytego dowcipu w cyklu p. t. „Unzer Pantheon”.

Do tej to ludowo - żydowskiej legendy literackiej nawiązując i w niej znajdując pełne uzasadnienie, podjął Manger jeden z najbardziej frapujących eksperymentów poetyckich we współczesnej literaturze żydowskiej, którego wynikiem są dwie książki: „Chumesz-lider” i „Megile - lider”.

Pierwsza z nich stanowi cykl liryczny, ośnuty na motywach biblijnych, a właściwie opowiadający wyłącznie dzieje patriarchów Abrahama, Izaka i Jakuba w sposób zupełnie nowy. Manger nie ilustrował biblii, ale ją spersflował, zdefiniował, upowszednił, spojrzal na nią z perspektywy małomiasteczkowego ghetta, oczyma żydowskiego ludu. Poeta uznał tę „księgę ksiąg” ludu żydowskiego, z którą od wieków zrosła się dusza tego ludu — za jej zwierciadło i wizerunek. Trzem patriarchom nadał ludowo - żydowski kolor, ubrał ich w kostiumy ghetta, ucharakteryzował na małomiasteczkowych Żydów, a perypetie postaci z legend biblijnych umiejscowił w tradycyjalistycznych warunkach bytu miasteczek żydowskich na tle słowiańskiego pejzażu. Jak malarze średniowieczni ubierali anachronicznie postaci świętych w stroje swej własnej epoki i wyobrażali ich wygląd, charakter i dystynkcje, wedle współczesnego im modelu oraz zgodnie z panującymi w średniowieczu pojęciami, tak Manger przedstawił biblijnych patriarchów jako Żydów w kapotach, a biblijną anegdotę przeniósł na typowe sytuacje życiowe i ludowo-żydowskie formy bytu.

Takie ujęcie przedmiotu dało niezwykle efekty artystyczne. Swojskie i prawdziwe aż do szpiku kości są te zgalwanizowane poetyckie postacie, wzięte z powszedniości i uświadomione szacowną patyną biblii. Bo gdzież są te elementy bardziej zespolone, niż w życiu żydowskim? Cóż lepiej charakteryzuje to życie, niż właśnie świętość i powszedniość zmieszane pospół?

Jeszcze bardziej efektowne pod tym względem są „Megile - lider”. Ten persyflaż „purimowy” jest jeszcze bardziej krwisty, jurny i przekorny, a zarazem swawolny i pełen rzewnego sentymentu, niż trawestacje biblijne. Jest to rzecz jeszcze

bardziej stylowo jednolita i bliższa powszechnemu odczuwaniu. Tutaj bowiem ton zasadniczy buffonady, liryczno - błazeński koloryt znajduje swój naturalniejszy oddźwięk w tematyce, odwołuje się do prastarej tradycji „Purym - szpilów”, jednego z rozlicznych rodzajów anonimowej twórczości ludowej, z którą poezja Mangera jest tak organicznie zespolona.

Hold jednemu ze swych patronów poetyckich, wagantowi żydowskiemu — Welwlowi ze Zbaraża złożył Manger w książeczce p. t. „Welw Zbarażer szrajbt brif cu Małkele der szajner”, zawierającej 12 świetnie podrobionych w stylu i nastrój listów poetyckich żydowskiego poety ludowego Wolfa Ehrenkranta ur. w Zbarażu w r. 1819, a zmarłego wśród smutnych i nieznanych bliżej okoliczności w Konstantynopolu. Manger każe temu pocie wagantowi kochać się w pięknej swawolce i pisać do niej wzruszające w swej prymitywnej czułości listy miłosne. Listy te — to istny majstersztyk poetycki, świadectwo znakomitej znajomości epoki i stylu ludowego. Ale jest to też utwór, łątnący wielką i prawdziwą poezję. Miłość, tęsknota, samotność, a przy tym swowolne poczucie misji poetyckiej, głębokie i szczerze odczucie życia i przyrody wyrażone są tu środkami pozornie nieporadnymi, a jednak o takiej sile ekspresji, że poszczególne kwadryny tych niby prymitywnych zaśpiewów potracają o wyżyny arcydzieł lirycznych. Welwele tłumaczy się przed swoją ukochaną, która czyni mu wyrzuty, że się włóczy bez pożytku z kompanami po świecie, że „ajn wahrer dichter mus kenzen zich ferszenken” i jest w tym nie jakaś wymyślona filozofia, ale płynąca z serca niewymuszona prawda, co do której nie ma żadnych dyskusji, która jest powołaniem fatalistycznym i nieodpartym żywiołem.

Zanim przejdziemy do omówienia ostatnio wydanego tomu ballad Mangera należy jeszcze wspomnieć o jego antologii pieśni ludowych, której część pierwszą p. t. „Felker zingen” już wydał a dalsze części zapowiada. W skład tej antologii wchodzi przekłady pieśni ludowych rumuńskich, polskich, ukraińskich, cygańskich, serbskich, bułgarskich itd. Manger umie im nadać w żydowskiej szacie jakiś nowy swój własny, indywidualny, balladowy kolor, a zarazem zatrzeć ich autonomiczną, narodową odrębność wyrazu.

Ten ton balladowy natomiast, który stanowi jakby leitmotyw twórczości tego współczesnego poety, dominuje w jego ostatnim zbiorze „Demerung in szpigel”. Jest to jakby rewia wszystkich motywów mangerskich, jakby antologia własna, jakby ekstrakt tego gatunku i rodzaju, który Manger wprowadził do poezji żydowskiej.

Znajdziemy tu więc ze wszystkiego po trosze z tego co znamy już i czytali w poprzednich tomikach: więc persyflaż biblijny („Sen Jakuba”); imitacje stylistyczne w duchu starożydowskim („Ajn kesticz lid cum zingen fun Szoljme fun Prug” i „Ajn naj szajn lid fun Ajzik Wallich Wirmajzen”) buffonady błazeńsko - liryczne („Akajdes Icyk” i „Hajdidid-dom”), lecz przede wszystkim dominuje tu ton balladowy, w którym wyraża się ów jedyny w swoim rodzaju demoniczny i romantyczny klimat poezji mangerskiej niesłychanie sugestywny, wizualny, dźwięczny, operujący całkowitym rynsztunkiem współczesnej techniki poetyckiej, a przy tym wyrosły, jakby z dna żydowskiej ludowości. Na zakończenie — powiem krótko: czaru tej poezji nie można „wytłumaczyć” komuś, kto nie zna żydostwa. Ale kto czyta po żydowsku i kto nie jest wewnętrznie obcy żydowskiemu życiu ten musi być nią zachwycony i przetręty do głębi.

A. Jacob-Loewenson

Nowa muzyka żydowska

Muzyka żydowska, której początki sięgają Wschodu, w ciągu swego procesu rozwojowego, trwającego lat tysiące, przystosowała się w takie zjawisko, że pierwiastki Wschodu i Zachodu, zamierzające tradycje żydowskie i współczesne prądy europejskie stopiły się w niezmienne oryginalną całość.

Naprzekór wszelkim zewnętrznym, obcym, szlaczynym i zniekształcającym wpływom potrafiła muzyka ta — zawsze w ścisłej łączności z osobliwymi kolejami narodu — utrzymać kontakt ze swym naturalnym źródłem. W źródle tym twórcy i odtwórcy żydowscy znajdowali wciąż nowo podniecie do własnej, przyrodzonej aktywności.

Nic tedy dziwnego, że cały ten kompleks, który określamy mianem „muzyki żydowskiej” i do którego zaliczamy o-bok muzyki liturgicznej w najszerszym znaczeniu wyrazu również ludową muzykę żydowskiego Orientu i żydostwa wschodnio-europejskiego oraz starszą i nowszą muzykę teatralną i koncertową, — że kompleks ten stanowi niewyczerpaną skarbnicę dla współczesnego kompozytora żydowskiego.

W stosunku do muzyki żydowskiej, w odpowiedziach na pytania: czym jest, czym ma być i do czego dąży, panuje zarówno w społeczeństwie żydowskim jak również w ogólnym świecie muzycznym nieopisany chaos opinii, ocen i dezyceratów.

Do niedawna jeszcze znano i rozumiano pod nazwą „muzyki żydowskiej” jedynie muzykę synagogalną — w gruncie rzeczy prawie zupełnie oderwaną od tradycji macierzystej, oraz pewną liczbę melodii ludowych. Melodie te — między które wśliznęło się wiele szlagierów z operetek ludowych, niepozabawionej czasami swoistej oryginalności — znano w opracowaniach mało wartości. Nieartystycznych i obliczonych przeważnie na efekt zewnętrzny. Analogiczny stosunek do muzyki mieli też interpretatorzy tego materiału — przeważnie kantorzy żydowscy, obdarzeni wielkim uczuciem, ale bardzo małą dozą samokrytycyzmu.

Koło roku 1900 powstaje w Rosji prąd, który stawia sobie za zadanie zbieranie, badanie i opracowywanie ludowej pieśni żydowskiej. Założono „Petersbuskie Towarzystwo Muzyki Żydowskiej”. Notowano pieśni ludowe, nie zwracając na razie zbyt bacznej uwagi na autentyczność ich pochodzenia, wogóle nie czyniąc sobie zbyt wielu skrupułów. Przecież pieśni te noszone o sobie, z nimi się rodzone, z nimi umierano, wśród nich przechodziło życie.

Stopniowo jednak muzyk żydowski wyrasta z wieku dzieciennego. Kompozytor owej epoki przejściowej zauważa, że nie tylko otoczenie rosyjskie potrafi pisać dobrą muzykę. Z Paryża dochodzą nowe dźwięki, szczególnie zaś odgłosy muzyki Debussy'ego i Ravela, której po ludniowa kolorystyka zupełnie nieleża harmonizuje ze słowiańsko-orientalną melodią. Sam Ravel pisze doskonałe opracowania żydowskich pieśni ludowych, niegorsze od tych, które sporządzone w Rosji.

Następne generacje rosyjsko żydowskich kompozytorów — którzy z nieślabącym zapalem stoją na czele ruchu — asymilują coraz silniej doświadczenia i wymagania współczesnych europejskich prądów muzycznych. W ten sposób formuluje się co raz dobitniej nakaz stworzenia typowo-żydowskiego stylu muzycznego, który opierając się w swej istocie o dawny melos żydowski, mógłby jedno-

ześnie zajmować reprezentatywne stanowisko w dziedzinie wysoko rozwiniętej muzyki wszechświatowej.

Wraz ze Skriabinem rozpoczyna się dla kompozytorów żydowskich nowa epoka. Jego czarowi ulegają przede wszystkim Aleksander i Grzegorz Kreinowie, członkowie jednej rodziny, w których talent muzyczny stał się dziedziczny. Oswobodzenie się od tego wpływu nie jest łatwe. Staje się ono możliwe dzięki intensywnemu wczuciu się w pierwotną melodykę żydowską i dzięki odkryciu pierwiastków azjatyckich również w muzyce rosyjskiej.

Powstają większe — choć niekiedy nie nowe — formy symfoniczne. Istnieją dwa teatry, które dla swego repertuaru wymagają stałe scenicznej muzyki żydowskiej. Obok żydowskiego stylu wokalnego rozwija się również żydowski styl instrumentalny. Józef Achron np. rozwija zupełnie oryginalną, prawdziwą i szczerą melodykę, spójną z dwóch pierwiastków: z elementu żydowskiego i z typowej dla skrzypka-wirtuosa melodyki smyczkowej. Ten sam Achron odkrywa zarodki fantastyczno-groteskowej muzyki scenicznej w staromodnej muzyce operetkowej „żydowskiego Offenbacha” Abrahama Goldfadena, dyrektora teatru, librecisty i kompozytora przeszło 60 operetek („Wiedźma” w repertuarze moskiewskiego „Żydowskiego Teatru Akademickiego” Granowskiego).

Z pośród ówczesnych przywódców najtrwalsze wpływy zawiądzają muzyka żydowska Joelowi Engelowi, twórce znanej muzyki do „Dybuka” (hebrajski teatr „Habima”). Znaczenie Engla leży dla nas przede wszystkim w jego walce o żydowską muzykę ludową, dla której aż do śmierci — zmarł przed kilku laty w Palestynie — działał z bezprzykładowym idealizmem. Engel opracował pieśń ludową niezliczone razy w formie chóralnej, scenicznej, kameralnej, fortepianowej i w postaci pieśni solowej.

Nie możemy jednak uważać Engla i jego stylu za reprezentatywny dla współczesnego stadium i dla przyszłości. Pomimo całej czystości jego zamierzeń musimy stwierdzić, że jego wiedza i umiejętności utknęły w połowie drogi. Zbyt silnie był związany z tym, co istniało dotychczas, a za mało był produktywny i wybitny, aby mógł działać wychowawczo poprzez większe formy. Zadanie polega bowiem nie tylko na stworzeniu żydowskiego języka muzycznego, który tkwi implicitnie w słuchacz żydowskim, który jest mu bliski i pozwala pasywnie wchłaniać muzykę. Raczej idzie o to, aby uczynić psychologię narodu tak naiwną, świeżą, chętną i pozbawioną przesadów, aby jego instynkt pozwolił mu ustosunkować się aktywnie do pierwotnego, bezśrodkowego — choć może nie zawsze przystępnego — wyrazu muzycznego własnej rasy.

Dla tak pojętych perspektyw symptomatyczne są np. opracowania żydowskich pieśni ludowych, pióra francusko-żydowskiego kompozytora Dariusza Milhauda, tańce ludowe na orkiestrę i na fortepian młodego Aleksandra Weprika (Moskwa) i wiedeńskiego wioloncellisty Joachima Stutschewskiego.

Do najwybitniejszych przedstawicieli nowej muzyki koncertowej należą Michał Gnesin i Michał Milner. Gnesin nawiązuje do romantyków, podczas, gdy impresjonizm Milnera o zabarwieniu słowiańskim przypomina raczej Mussorgskiego. Oba są przede wszystkim lirycznymi, ich właściwą domeną jest pieśń solowa. Ich ambicją — zgodnie z nastawieniem romantyz-

mu — wykraczają poza ramy czystej pieśni ludowej, natomiast obaj posługują się chętnie typowymi motywami żydowskimi, które przejmują z recitatu religijnego jako reakcja na metrycznie skrepowaną pieśń ludową występują u nich formy o większym rozpęciu, chociaż w dziedzinie formalnej nie dokonali żadnych zdecydowanych nowych odkryć.

Dzisiejsza generacja — która w pewnej mierze zresztą wykazuje silne tendencje do rzeczowego ujmowania muzyki ludowej (Werpik) — trzyma się jednak naogół mniej dosłownie melodyki tradycyjnej, starając się raczej wyluskać istotę tej melodyki i nanowu ją rozwinąć. Jako pełne wartości i oryginalne przykłady takiej czysto artystycznej muzyki przytoczymy utwory Aleksandra Kreina (Moskwa), Józefa Achrona, Ernesta Blocha (New York), Ericha Waltera Steinberga (Berlin) i Mordechaja Sandberga (Jeruzolima).

A. Z. Idelsohn (Cincinnati), pierwszy i jedyny dotychczas historyk muzyki żydowskiej, nauczył nas rozpatrywać muzykę z punktu widzenia muzyki orientalnej. Niestety jednak stanowisko to jest tak nowe i tak mało popularne, że nie wykazało dotychczas np. większego wpływu na współczesną muzykę żydowską, gdzie taki nowy punkt widzenia jest szczególnie pożądanym. Muzyka synagogalna znajduje się bowiem całkowicie pod władzą Lewandowskiego, to znaczy, epoki emancypacji, której muzyka liturgiczna ma zaledwie nikły związek z dawnymi tradycjami. Arno Nadel jest zdaje się człowiekiem, który zabiega o reformę muzyki religijnej, chociaż i on tkwi jeszcze głęboko XIX wieku.

Specjalnymi względami dzisiejszych kompozytorów żydowskich cieszy się muzyka sceniczna. Oba teatry żydowskie („Habima” i „Moskiewski Żydowski Teatr Akademicki”) dały podniecie do napisania wybitnie oryginalnych utworów z tej dziedziny. Znajdujemy tu przy pracy ponownie Engla, Achrona, Aleksandra Kreina, a nadto Rozowskiego (Jeruzolima), oraz ostatnio Ernesta Tocha i Karola Rathausa (oba obecnie w Berlinie).

Wszelka nowa muzyka wymaga nowych interpretatorów, tym bardziej muzyka żydowska. Interpretator tej muzyki musi zrezygnować z konwencjonalnych, zewnętrznych efektów, z zakorzenionych, wykutych formułek, z sentymentalizmu. Musi się on ustosunkować aktywnie do języka muzycznego, odpowiadającego duchowi czasu, od stylu indywidualnego, musi świadomie harmonizować treść i formę wykonania. Do tych czynników należy dodać od niedawna dopiero datujące się uświadomienie istoty melodyki żydowskiej i oczywiście znajomość charakteru języków hebrajskiego i żydowskiego.

Z powyższych rozważań nasuwa się wniosek, że należy kształcić systematycznie nie tylko zdolność receptywną, t. j. słuchacza, ale w równej mierze i czynnik wykonawczy. Należy przeto z jednej strony wypełniać olbrzymie luki wychowania muzycznego, z drugiej zaś trzeba wyrzucić w otlach zapomnienia wiele szkodliwych przyzwyczajzeń, które kulturowano od — — — — — i miłości, — — — — — jest prostopu drugą naturą.

Z pośród — — — — — wykonawców, którzy są bardzo bliscy spełnienia tych dezyceratów wymienimy: parwską śpiewaczkę Madeleine Grey, Śpiewaczkę Izo Gollanda (dawniej aktorka „Habimy”) wiedeńskiego wioloncellistę Joachima Stutschewskiego oraz dyrygenta Michala Taube.

D Y B U K

NA

TAŚMIE FILMOWEJ

(ROZMOWA Z REŻYSEREM

ANDRZEJEM MARKIEM).

— Istotnie? — zapytuje na samym

wstępie. Nie zawsze przecież można się

zdać na informację prasy.

— Tak jest — odpierł reżyser Andrzej

Marek. „Dybuk” stał się znów przedmiotem

artystycznego eksperymentu.

— I znowu panu — zaznaczam —

przypadła w udziale zaszczytna rola in-

icjatora tak odpowiedzialnego i trudnego

eksperymentu.

— Dlaczego „znowu”?

— Bo jeżeli się nie mylę — był pan in-

icjotorem również polskiej prapremiery

„Dybuka” na scenie łódzkiej.

— O, to dawna historia. Dziś właśnie

— dziwnym zbiegiem okoliczności —

mija dwanaście lat od tej premiery. Dwa-

naście lat! Przez ten długi, jak na dzisie-

jsze warunki, okres czasu „Dybuk” przew-

drował cały świat i podbił wszystkie nie-

mal sceny europejskie.

— Przepraszam — przerywam —

wspomniał pan przed chwilą o premierze

„Dybuka”. Czy zechciałby pan podzielić

się z nami dziś właśnie, kiedy mija dwa-

naście lat od chwili wystawienia „Dybuka”

na obecnej scenie, z perypetiami zwią-

zanymi z tą premierą?

— W dzisiejszych czasach nasilonego

antysemityzmu — mają one charakter

wybitnie aktualny. Nie wiele się co praw-

da zmieniło w Polsce od lat dwunastu —

mówię o zasadniczych nastrojach i kierunkach, ale będziemy obiektywni — było jednak inaczej. Dwanaście lat temu wróciliśmy do Polski z długiej podróży po Ameryce. Zdawało się, że nie łatwiejszego jak zaprezentować polskiej publiczności „Dybuka”, zwłaszcza po tylu sukcesach amerykańskich. Z jakimkolwiek zresztą dyrektorem teatru polskiego mówiłem w tej sprawie — wszyscy wyrażali się o „Dybuku” z najwyższym uznaniem. Tak, wszyscy bez wyjątku pragnęli wystawić „Dybuka”, ale nikt „Dybuka” wystawić... nie chciał. Bolesny paradoks! Na czele ówczesnego teatru Bogusławskiego, najciekawszego i najmilszego, jaki kiedykolwiek istniał w Polsce — stali dwaj szczerzy i radykalni artyści — Leon Schiller i Aleksander Zelwerowicz. Podpisali ze mną umowę, dali nawet pokazny awans i — nie wystawili „Dybuka”. Nie chcieli, widąc, zadzierając z pewnymi odłamami społeczeństwa polskiego.

Mam w tece trzy kontrakty, podpisane w owym czasie przez dyrektorów czołowych teatrów polskich. Trzy miasta kłóciły się o premierę „Dybuka”. Były to raczej kłótnie, które ograniczyły się do tego, mówiąc językiem zakulisowym i teatralnym — kto ma pierwszy „Dybuka” spławić, kto ma pierwszy tego arcydzieła scenicznego — nie wystawić. Aż wreszcie po długich, męczących pertraktacjach prapremiera odbyła się w Łódzki Teatr Miejski. Dyrektor ówczesny, Kazimierz Wróczyński uważał, że wystawienie „Dybuka” jest z jego strony prawdziwym bohaterstwem i wielkim poświęceniem. Łączę ponne były te wszystkie obawy. Nawet pisma wybitnie żydożerze (co dzisiaj nie byłoby już do pomyślenia)

TOMASZ MANN

JÓZEF WRZUCONY DO STUDNI*

Nikczemnicy stali sapiąc i przesadzali w objawach swego wyczerpania, aby zamaskować beznadziejność, która opanowała ich w miarę, jak odzyskali świadomość. Naśladowali Rubena, ocierając pot grzbietami dłoni, wydymali wargi i robili miny, które wyrażały jako dalszy ciąg zemsty niezmiernie sprawiedliwe oburzenie, jakby chcieli powiedzieć: „Cokolwiek się stało — czy ktośkolwiek może nam z tego powodu zrobić wyrzut?” Mówili to cichymi słowami, które służyć miały dla ich usprawiedliwienia przed sobą nawzajem i przed wszelkim zewnętrznym wyrokiem.

— Taki lajdak!

— Taki cierń!

— Aleśmy mu pokazali!

— Aleśmy mu to wszystko wybili z głowy!

— Czyby kto uwierzył?

— Tu jeszcze przychodzi!

— Przychodzi tu i staje przed nami!

— W pstrej szacie!

— Przed naszymi oczyma!

— Chce się przekonać, czy wszystko w porządku!

— Ale my się przekonaaliśmy!

— Niech sobie popamięta!

Ale podczas kiedy to wykrzykiwali, poczęła się w nich budzić — jednocześnie we wszystkich — groza, którą zagłuszyć miały właśnie te urywane frazesy; a jeśli się tej tajemnej grozi bliżej przyjrzeć, była to myśl o Jakóbie.

Boże wielki, cóż uczyniono z jagniątkiem ojca — nie mówiąc już zupełnie o stanie, w jakim znajdował się dziewczyny potomek Racheli? Jak się zachowa ojciec, kiedy to zobaczy albo dowie się o tem, jakże stanął wtedy przed nim i jaki los spotkał ich wszystkich?

Spełnienie haniebnych snów — ich własnym dziełem! Więc właśnie to, w czym oszukać chcieli Boga przez stworzenie faktów dokonanych. Teraz dopiero spostrzegli się, że wielki Ruben okpił ich swoim hasłem. Oto stali teraz, a przed nimi leżał złodziej błogosławieństwa, należycie naprawdę wychłostany i związany, ale czy można to było nazwać faktami wykonanymi? Inaczej byłoby, gdyby Józef nie stanął więcej przed oczyma ojca, gdyby Jakób dowiedział się o faktach dokonanych i nieodwołalnych. Wówczas naprawdę biadanie byłoby okropniejsze jeszcze — trudno to się wprost wyobrazić. Ich jednak — temu nie podobna było zaprzeczyć — ominęłyby to. Przy połowicznym czynie byli winni przy całkowitym niekonieczności.

Takie myśli tłukły się jednocześnie w głowach wszystkich, kiedy tak stali — w głowie Rubena także. Nie mógł nie stwierdzić tego faktu. Przebiegłość, z jaką zapobiegł czynowi, płynęła z jego serca. Rozum powiedział mu, że stało się za wiele, aby mogło się nie stać jeszcze więcej. Że to więcej musiało się stać, a jednak przez Boga, za żadną cenę stać się nie powinno, to właśnie wytwarzało zamęt w jego duchu. Muskularna twarz wielkiego Rubena nigdy jeszcze nie była tak strapiiona i zakłopotana.

Lada chwila obawiał się usłyszeć to, co nieuchronnie musiało być wypowiedziane głośno, a na co nie znajdował odpowiedzi. I oto zostało wypowiedziane głośno, oto usłyszał to. Wypowiedział to jeden z braci, wszystko jedno który: Ruben nie spojrzał nawet, który to był przypadkowo; nieuchronna myśl wszystkich była:

— Musi iść precz.

— Precz, — skinął Ruben potakująco z rozgoryczeniem. — Tyś powiedział. Nie mówisz, dokąd.

— W ogóle precz, — odpowiedział głos. — Musi iść do dołu, żeby go więcej nie było. Dawno już nie powinno go być, ale teraz już stanowczo nie może go być.

— Zgadzasz się z tym zupełnie! — odpowiedział Ruben z gorzkim szderstwem. — A potem staniemy przed Jakóbem. Jego ojcem, bez niego. „Gdzie chłopiec?” zapyta mimochodem.

*) Uide Nr. 13 „Steru”.

„Nie ma go już”, odpowiemy wówczas. Ale gdyby zapytał: „Dlaczego go nie ma więcej?”, odpowiemy: „Zabiliśmy go”.

Milczeli.

— Nie, — powiedział Dan, — nie tak. Posłuchajcie mnie, bracia, nazywają mnie węzłem i żmiją, a niepodobna mi odmówić pewnej pomysłowości. Zrobimy tak: Wtrąćmy go do dołu, do tej pustej studni, nawpół zasypanej, w której nie ma wody. Będzie tam bezpieczny i usunięty, i niech się potem troszczy, co się stanie z jego snami. Jakóbowi zaś skłamiemy i powiemy pewnymi ustami: „Nie widzieliśmy go i nie wiemy, czy jest jeszcze, czy nie. Jeżeli nie, to niechylnie rozszarpał go dziki zwierz. O biada!” Musimy dodać „O biada!” ze względu na kłamstwo.

— Cicho! — syknął Naftali. — Przecież on tu leży obok i słyszy nas!

— To co? — odpowiedział Dan. — On tego nikomu nie powtórzy. Ze słyszy to, oto jeszcze jeden powód więcej, aby nie mógł stąd odejść, ale i przed tym już nie mógł, więc teraz już wszystko jedno. Możem spokojnie mówić przy nim, on już jest tak jak martwy.

Skargliwy dźwięk wydarł się z szarpającej się pod pętlami piersi Józefa, na której widniały delikatne i czerwone gwiazdy matki. Płakał.

— Słyszcie to i nie litujecie się? — zapytał Ruben.

— Rubenie, co to ma znaczyć, — odpowiedział Juda, — i dlaczego mówisz o litości, choćby ona nawet grała pewną rolę u tego czy owego z nas, tak samo jak u ciebie? Czy lży jego w tej godzinie zaciera ją to, że płaz ten był przez całe życie bezczelny aż do nieba i szkalował nas przed ojcem haniebnymi oszczerstwami? Czy litość można przeciwstawić konieczności i czy jest ona dostatecznym powodem aby stąd odszedł i doniósł o wszystkim ojcu? Nacóż się więc zda mówić o litości, jeśli ona nawet gra pewną rolę? Czy nie usłyszał już, jak będziemy kłamali przed Jakóbem? Że to usłyszał, decyduje to już o jego życiu, z litością czy bez. Dan powiedział prawdę: on jest już tak jak martwy.

— Macie rację, — rzekł wówczas Ruben. — Wtrąćmy go do studni.

Józef zapłakał znowu żałośnie.

— Przecież on jeszcze płacze, — uważał któryś za wskazane przypomnieć.

— Czyżby mu już płakać nie wolno było? — zawołał Ruben. — Strąćcie go więc placzącego do dołu, czego chcecie więcej!

— Tutaj padły słowa, których nie powtórzymy bezpośrednio, gdyż przeraziłyby one nowoczesną wrażliwość i — właśnie w formie bezpośredniej — przedstawiłyby braci, a przynajmniej niektórych z nich, w przesadnie złym świetle. Faktem jest, że Szymon i Lewi, jak równie prostak Gad zaofiarowali się natychmiast zrobić koniec ze związanym. Pierwsi chcieli to załatwić kijem, z dobrym rozmachem obu rąk na sposób Kaina. Gad prosił, aby mu polecono szybko przeciąć skrupowanemu gardło nożem, jak Jakób uczynił niegdyś z jagnięciem, którego skóra potrzebna mu była do wyłudzenia błogosławieństwa. Propozycje te zostały przyjęte, niepodobna temu zaprzeczyć; nie jest jednak naszym pragnieniem, aby czytelnik nieodwrotnie poróżnił się z synami jakóbowymi i na zawsze odmówił im przebaczenia, dlatego też nie wypowiemy tego bezpośrednio słowami braci. Zostało to powiedziane, ponieważ musiało zostać powiedziane, ponieważ — mówiąc naszym językiem — leżało w konsekwencjach wypadków. I tak samo konsekwentem tylko było, że powiedzieli to ci właśnie, że ci się w tym celu zaofiarowali, których roli na ziemi najbardziej to odpowiadało i którzy tym samym — jeżeli można tak powiedzieć — okazywali posłuszeństwo swemu mitowi: dzięki bliźniąt i sztywny Gad.

Ale Ruben nie pozwolił na to. Wiadomo jest, że oparł się temu i nie chciał, aby Józefa spotkał los Habla albo jagnięcia.

— Sprzeciwiam się temu i opieram, — powiedział, powołując się na swoją właściwość pierworodnego Lei, w której mimo upadku i przekleństwa miał jeszcze coś do powiedzenia. Chłopiec

jest już przecież i tak jak martwy, sami to powiedzieli. Płacze jeszcze tylko trochę, to wszystko, wystarcza więc wrzucić go do studni. Niech mu się tylko przyjrza, czy jest to jeszcze Józef, śniący — niepodobna go już przecież poznać po tem, co się wydarzyło, a w czem on, Ruben, brał taki sam udział jak wszyscy, a brałby jeszcze większy udział, gdyby go ze wszystkich stron nie popychano. Ale to, co się wydarzyło, było właśnie tylko wydarzeniem nie czynem, tak tego nazwać nie można. Wydarzyło się to naprawdę przez nich, braci, ale oni tego nie uczynili, lecz tak się z nim stało. Teraz jednak chcą z całą przytomnością i po wyraźnej decyzji uczynić coś ohydny i podnieść rękę na chłopca, przelewając krew ojcowską, podczas gdy dotąd sama ona płynęła chociaż przez nich.

Tak mówił wielki Ruben, nikt jednak nie sądził, że oszukiwał on siebie samego, że tak surowo wierzył w zasadniczą różnicę pomiędzy czynem i wydarzeniem i uważał, iż pozwolić chłopcu zginąć w studni to nie to samo, co podnieść na niego rękę. Gdy nieco później Jehuda zadał pytanie, naco się zda zadusić brata i ukryć jego krew, nie nauczył przez to Rubena niczego nowego. Dawno już ludzkość zajrzała do serca Rubena i przekonała się, że nie pragnął on niczego innego, jak tylko zyskać na czasie — nie potrafiłby powiedzieć, poco — poprostu zyskać na czasie, zachować nadzieję, że uratuje Józefa z ich ręki i w ten czy inny sposób zaprowadzić go znowu do ojca. Lęk przed Jakóbem i miłość do zniechęconego, miłość, której się z goryczą wstydzili, pchały go do tego potajemnie — i kazały mu myśleć o zdradzie wobec klanu braterskiego. Niepodobna tego inaczej nazwać. Ale Ruben, mknąca woda, wiele miał do naprawienia w stosunku do Jakóba spowodu Bili, a gdyby mu przyprowadził stąd Józefa, czyżby owa dawna historia nie została przez to jakby naprawiona, przekleństwo zdjęte z niego, pierworództwo jego przywrócone? Nie schlebiamy sobie, jakobyśmy dokładnie znali myśli i zamiary Rubena, nie pragniemy też umniejszać motywów jego postępowania. Ale czyż umniejszamy je, jeżeli uważamy za możliwe, iż spodziewał się w duchu, że jednocześnie uratuje dziecię Racheli i zwycięży?

Zresztą nie natrafił u braci na opór, kiedy zażądał, aby się powstrzymali od działania i pozostawili swobodę wydarzeniom. Wszyscy oni woleliby, aby czyn ich, póki był jeszcze wydarzeniem za jednym ślepym zamachem doprowadził do celu; ale teraz, po przerwie zastanowienia, dokończyć tego jako czystego czynu i wyraźnej krwawej decyzji nikt właściwie nie miał ochoty, nawet bliźniąt, mimo całej swojej dzikości, nawet Gaddiel, chociaż takiego udawał sztywnego; radzi byli, że zadanie, dotyczące głowy i gardła, nie zostało im poruczone, lecz że ponownie zwyciężył autorytet Rubena i jego hasło: jak poprzednio hasło związania, tak teraz hasło studni.

— Do dołu! — zawołali i chwycili za sznur, którym związany był Józef.

Szarpiąc ze wszystkich stron, powlekli biedaka naprzecią przez pole ku miejscu, gdzie na uboczu, na wygonie, znajdowała się pusta cysterna. Jedni zaprzęgli się z przodu i ciągnęli, inni pomagali z boków, a kilku biegło z tyłu. Ruben nie biegł, lecz szedł długimi krokami na końcu transportu, a gdy po drodze był kamień, zły korzeń albo twardy krzak, chwycił wleczonego i unosił go, aby sobie nie zrobił nic złego.

Tak odbywał Józef drogę do dołu wśród okrzyków hojhip i hojhe, rodzaj bowiem weselości ogarnął braci przy tej jeździe, głucha swawola wielu przy wspólnym dziele, tak że śmiali się i pokrzykiwali, wołając nawzajem do siebie: że ciągną sноп, dobrze związany, który pokłoni się do dołu, do studni, do głębin. Ale to tylko dlatego, że wszyscy uczuwaliby ulgę na myśl, iż nie nie potrzebują postąpić na wzór Habla albo jagnięcia; a także żeby nie usłyszeć błagań i zawodzeń Józefa, który nieustannie lamentował z rozciętą wargą:

— Bracia! Litości! Co czynicie! Przestańcie! Ach, ach, co się ze mną dzieje!

Nic mu to nie pomagało, klusem biegli z nim bracia przez trawę i krzaki spory kawałek drogi aż do pokrytego mchem stoku, potem w dół po stoku, na dole zaś był chłodny grunt, obmurawany z krzakami dębowymi i figowemi na rozwalonej reszcie muru i popękanych płytach, dokąd wiodło w dół kilka stromych i uszkodzonych stopni: po nich wleki Józefa, który mimo pęt począł się rozpaczliwie bronić w ich ramionach, ogarnął go bowiem lęk przed studnią, która tam była zbudowana, i przed otworem studni, który leżał obok na płytach, omślały i popękany, przeznaczony do nakrycia otworu.

Ale chociaż się Józef bronił i płakał, z przerażeniem zataczając dokoła jedynym zdrowym okiem, — z okrzykiem hojhip i hojhe podnieśli go na skraj stuni i przechylili go nad nią, tak, że musiał spaść, kto wiedział jak głęboko.

Studnia była dość głęboka, chociaż nie przepastna, nie była to bezdenna czeluść. Studnie takie miewają często trzdzieści metrów głębokości, ta jednak była nieuczyniana i oddawna już mocno zasypiana przez ziemię i gruz, może spowodu dawnych sporów o tę miejscowość. Głębina, w którą musiał spaść Józef, wynosiła co najwyżej pięć czy sześć sążni, w każdym razie jednak było to za dużo, aby się stamtąd wydostać, mając skrupowane członki. Spadał zresztą z wielką ostrożnością i ze skupioną czujnością, znajdował połowiczne oparcie, wspierając się tu i ówdzie nogami i łokciami o obmurawanie i łagodząc w ten sposób upadek, aż wreszcie wyładował cały na gruzie, ku przerażeniu najrozmaitszych chrząszczów, żuków i robactwa, które nie spodziewały się takiej wizyty.

Ale podczas, gdy Józef, padłszy gdzieś na dno, zastanawiał się, jak się to wszystko stało, bracia na górze dokonali męskimi ramionami reszty i wśród okrzyków pracy nakryli siedzibę jego kamieniem. Ciężki bowiem był ten kamień i nie jednego męża dziełem było wtoczyć go na studnię, lecz wszyscy musieli wspólnie jać się dzieła, które było pracą nielada. Stara pokrywa studni, pokryta zielonym mchem i mająca jakieś pięć stóp średnicy, była pęknięta na dwoje, a kiedy wtoczyli obie połówki na studnię, nie zamknęła się ona nawet, lecz pozostała szparą, tu wąską, ówdzie szeroką, przez którą światło dzienne wpadało do studni.

Na tę szparę patrzył Józef swoim jedynym widzącym okiem, kiedy tak leżał gdzieś w okrągłej głębinie, goły i nagi.

wyrażały się o „Dybyku” z szczerem zachwytem i entuzjazmem. Oto „Rozwój” z dnia 21 kwietnia 1925 r. pisał nazajutrz po premierze: „wartość wystawienia „Dybuka” równa się wielkiemu sukcesowi drużyny aktorskiej w Łodzi. Przed wszystkim należy się jagnajwyższe uznanie reżyserowi Andrzejowi Markowi. Pracę jego znamonuje rzetelny wysiłek dla każdej drobnostki i wielki pietyzm w ujęciu fascynującej całości”. A pod koniec obszerniej recenzji bardzo charakterystyczny zwrot: „publiczność gorącym i entuzjastycznym przyjęciem „Dybuka” dała nam przykład, jak należy popierać sztuki pisarzy rodzimych” (podkr. nasze) Anski — pisarzem rodzimym! Dwanaście lat temu nie myślano jeszcze kategoriami „Dzienników Narodowych” i „A. B. C.”. Narodził antysemickie były wtedy co prawda dość silne, rasizmu jednak intelektualnego nikt jeszcze w tym czasie nie znał. O tym, by dziś wystawić na scenie polskiej jakiegokolwiek nowego „Dybuka” — marzyć nawet nie można. Prasę obiegły niedawno drobne wzmianki, że przystępujemy do filmowania „Dybuka”, a już — zwyły tu i ówdzie żydówecki hieny. — W jakiej wersji będzie „Dybuk” filmowany? — Pierwszą moją myślą było filmowanie „Dybuka” w wersji żydowskiej i polskiej. Okazało się jednak, że na całym terenie Rzeczypospolitej nie znajdziemy żadnego kina, liczące na polską publiczność, które by się ośmieliło ten film wyświetlać. Postanowiliśmy więc filmować „Dybuka” w wersji żydowskiej i — angielskiej! Starczyła mała o tym wzmianka, a wytwórnia „Feniks”, która film ten realizuje, otrzymuje bez przerwy liczne zamówienia z Ameryki północnej i południowej, z Anglii i innych krajów Europy.

— W jakiej fazie znajduje się praca nad realizacją „Dybuka”? — W tej chwili robione są już ostatnie posunię-

cia w kierunku angażowania zespołu. Wszystkie prace literackie są już ukończone, a techniczne — rozpoczęte. W pierwszych dniach czerwca rozpoczynamy normalną pracę w atelier „Falanga”, a jeszcze przed tym — 25 maja rozpoczynamy kręcenie plenerów. Według naszych obliczeń film będzie gotowy w sierpniu, a 23 tegoż miesiąca odbędzie się premiera „Dybuka” w Warszawie.

— Jak rozdzielone zostały główne role? — Wybitny aktor Morewski, który z niebywałym powodzeniem kreował postać cadyka w Trupie Wileńskiej, gra i w tym filmie główną rolę. Meszulecha odtworzy jeden z największych naszych mistrzów sceny — Samberg. O innych rolach mówić mi jeszcze nie wolno, gdyż pertraktacje z jednoimiennymi aktorami i aktorkami są dopiero w fazie finalizacji.

— Jakie stanowisko zajął pan w pracy nad realizacją filmową „Dybuka”? — Jestem kierownikiem artystycznym i literackim oraz współautorem scenariusza. Pracowałem nad nim wraz z Kacyną, który jest najlepszym i najgłębszym znawcą życia chasydskiego i folkloru. Wniósł on do naszego wspólnego dzieła wysokie wartości literackie, oraz cenne przyczynki obyczajowe i dokumentarne. Należy również podkreślić, że Kacynę był jednym z najbliższych druhów autora „Dybuka”. W intencje twórcze Anskiego był tak dalece wtajemniczony, że właśnie jemu po śmierci wielkiego dramaturga powierzona została odpowiedzialna praca skonstruowania ze szczątków drugiego dramatu Anskiego „Dzień i noc” — pełnej i artystycznej całości. Z zadania tego, jak wiadomo, wywiązał się Kacynę znakomicie. Wypadnie jeszcze poza tym zaznaczyć, że na stanowisku reżysera powołany został znakomity znawca sztuki filmowej — Michał Waszyński. — Czy były propo-

zyzyc ze strony zagranicznych wytwórni w sprawie filmowania „Dybuka”?

— Owszem. Pertraktacje toczyły się od dłuższego czasu z najrozmaitszymi wytwórniami zagranicznymi. Między innymi berlińska Ufa w okresie przed hitlerowskim podpisała w swoim czasie z nami kontrakt. Lecz powtórzyła się znowu ta sama historia: nikt nie miał odwagi „Dybuka” filmować. W tym wypadku nie chodziło już oczywiście o nieprzychylną opinię społeczeństwa. Raczej lęk przed samym „Dybukiem” kazał im rezygnować z wypłaconych awansów i zawartych umów. Nie wyobrażali sobie bowiem jak można tak subtelny, głęboki i mistyczny utwór przetłumaczyć na zrozumiały dla wszystkich język filmu. Zbyt mało uchwytne były dla nich przeżycia i obrazy, jakie Anski wyczerpał z tragicznej rzeczywistości narodu żydowskiego, by mogli je uszeregować i ująć w dramatyczny spłot wypadków, w akcję filmową.

— A czy pan nie ma podobnych obaw?

— Nie przeczę i mnie one często nachodziły. Jednak nasz scenariusz filmowodźwiękowy zyskał aprobatę najbardziej wymagających dybukoznawców. Sama realizacja, jeżeli pójdzie po linii, wytkniętej przez scenariusz, a musi iść po tej linii, nie może dać w rezultacie znacznych odchyleń. Jesteśmy poza tym niezwykle ostrożni w doborze sił artystycznych i technicznych. Chodzi nam przede wszystkim o utrzymanie filmu na tak wysokim poziomie, aby patos dramatu nie doznał żadnego uszczerbku. Nie zbaliśmy najlepszego archywieza naszej literatury. Zabieramy się do dzieła — mówiąc słowami jednego z bohaterów „Dybuka” — z trwogą, lękiem i — wiarą.

LEON BAUMBERG

Melania Wazerman

Miasto wszelkich możliwości

T. J. JUNOSZA: Mgła nad Sekwaną. Warszawa, „Rój”, 1937.

Powieść p. Junoszy czyni dziwne wrażenie, któremu nie można się oprzeć podczas czytania: że to nie oryginał, lecz przekład z francuskiego. Nie jest to, broni Boże, pomawianie autora o jakiś plagiat, nie, po prostu narzuca się dziwna sugestia, że jest to jedna z tych francuskich książeczek, o kreslonym formacie, w żółtej okładce, które zabiera się z sobą w podróż, na weekend, czy do poduszki. Jest w niej niefałszowana atmosfera Paryża, jest w niej coś specyficznie francuskiego.

Beletryście polskiej brak tego, co się nazywa dobrą przeciętną powieścią. Powieścią, która nie ma zbyt ambitnych aspiracji, która nie próbuje rozstrzygać zagadnień społecznych i która nie konkuruje z oryginalnymi chwytami i trickami nowatorów i awangardystów. Nie każdy przeciętny czytelnik żąda w książce „przekrojów” i „pionów”, rzeczywistości i nie każdy autor, zabierając się do pisania, musi dźwigać na swych barkach brzemień apostołstwa. Książka, dobra przeciętna książka, napisana kulturalnie i z umiarem, spełnia tę samą rolę co film: daje rozrywkę, daje oderwanie się od tej rzeczywistości, która tak mocno dojadła szaremu człowiekowi.

Istnieją sprawy, których żytność chyba nigdy nie przestanie pasjonować właśnie szarego czytelnika: sprawa między dwójgim ludźmi, sprawa miłości i wynikłych z niej powikłań. Tylko że w powieści polskiej (tego typu), gdy dwoje ludzi znajduje się sam na sam w pokoju, wtedy autor wypełnia lukę w opisie wielomówcami kropkami, pozostawiając interpunkcję rolę dyskretnego dopowiedzenia. Albo też, co było nieznośnym szablone powieści przedwojennej, przywołuje do pomocy... gwiazdy. „I ujrżeli gwiazdy nad sobą...” Natomiast beletryści francuscy dopiero wtedy dochodzą do rozsmakowania się w sytuacji, gdy dwoje ludzi zostaje sam na sam. Zresztą lawirowanie pomiędzy prawdą a pornografią jest specyficznym pikantnym posmakiem francuskiej kuchni pisarskiej.

Trzeba przyznać, że p. Junosza nauczył się tej umiejętności od swych paryskich confrerów. I że miesza te ingredencje ze smakiem i umiarem. Książka jego jest hołdem uwielbienia dla pięknej kobiety, na miarę Srokowskiego i Gamastona. I miłość jego, pochłaniająca, zaborcza, przesłaniająca świat, znów przypomina powieści przedwojenne, kiedy nie było innych spraw, kiedy nie było dokuczliwych a realnych kłopotów, bezrobocia, kryzysu, groźby nowej wojny, kiedy młody malarz żył sobie na swej mansardzie, jak ptak w gnieździe, żywiąc się byle jak i byle czym, malując z pasją i kochając z nie mniejszą pasją. W powieści p. Junoszy nie ma nic, coby mówiło o czasach, w jakich dzieje się akcja.

Piękna pani Werenka, trudna i niedostępna na początku, tkliwa i gorąca w miłości, ze swą niezrozumiałą psychiką, z kurczowym trzymaniem się męża i ram dobrobytu, jest jak żywcem wycięta z powieści przedwojennej. Są chwile, kiedy nasuwają się czytelnikowi podejrzenia, iż młody malarz z powieści p. Junoszy ma w jej życiu spełnić tę samą rolę, co urodziwy muzyk Pavoncello z noweli Żeromskiego, na wypadek gdyby pani Werenka przyszła ochota być posłuszną nakazom polityki populacyjnej, tak popieranej we Francji. Ale nie: sprawa jej oziębienia uczuciowego pozostaje niewyjaśniona i młody malarz odjeżdża z rozdartym sercem w daleki świat, unosząc ze sobą wizję „mgły” i Sekwany, przy czym mgła ma symbolizować niepojętą dlań gmatwaninę uczuć kobiecych.

Jedyną powojenną postacią tej powieści jest młoda dziewczyna, modelka, od niepokojącej rudziny urywki aż do czubków paryskich pantofelków, bardzo francuska, świadomie szukająca rozkoszy, śmiała i pełna inicjatywy w miłości, prosty i dobry kompan najazutrz... I nawet jej tęsknota za dzieckiem, za dzieckiem choćby od niewiadomego ojca, jest także bardzo francuska.

Klimat Paryża oddany jest w powieści Junoszy z nieodpartą sugestywnością, i to jest największą zaletą jego książki.

JOLAN FOELDES. Ulica kotarybłowcy. Książnica-Atlas, Warszawa-Lwów.

Podobnie jak w książce Junoszy, i w powieści węgierskiej emigrantki, w powieści, nagrodzonej na międzynarodowym konkursie książek w Londynie, właściwym bohaterem jest nie człowiek, lecz miasto. Atmosfera tego miasta, jedynego w świecie (zdaje się, że to Oskar Wilde powiedział, iż każdy człowiek ma dwa miasta ojczyzny: to, w którym przyszedł na świat, i Paryż), miasto wszelkich możliwości, wyciska swe osobliwe piętno zarówno na stałych mieszkańcach, jak i przybyszach, emigrantach z całego świata. Tak, jak szerokie, z rozmachem i swobodą rozplanowane są ulice i place Paryża, tak szeroki i pełen rozmachu jest oddech tego miasta. Miasto wspinałoby kontrastów, bujne, falujące, wiecz-

nie zmienne i wiecznie to samo — jak życie.

Paryż ma swoistą dzielnicową geografę. Podobnie jak bohaterowie powieści Junoszy, malarze, modelki, artyści nie wykraczają poza granice Montparnassu, tak biedacy, emigranci stłoczeni w samym sercu Quartier Latin, na Boul-Miche'u i jego przecznicach, nie wiedzą, co to Place Pigalle i dzielnice boiteile, przeznaczonych dla żądnych zabawy cudzoziemców. Żyją byle jak, żywią się nie wiadomo czym. Tajemnicza, wąziutka jak w baśni Andersena uliczka, skąd przez okno można widzieć, co się dzieje u sąsiada z przeciwka, prowadząca od wybrzeża Sekwany do rue de la Huchette nosi dziwną, frapującą cudzoziemców nazwę: rue du Chat u peche. W wyobraźni małej Węgierki ten zagadkowy kot rysuje się obrazowo, jako siedzący na brzegu Sekwany, z wędką, poruszający wielkimi wąskimi. Ale symbolika tego obrazu może przenieść się na całe środowisko emigracji. Żyją ci ludzie naprawdę jak kot, który sobie wiadomym sposobem coś tam gdzieś złowi. Węszą, szukają pracy, czasem ugrzęzną w topieli występku, jak sprytny niebieski ptak Stefek, czasem będą próbować żyletką przeciąć nić już za nadto doskwierającą żywota, jak wykolejony profesor litewski Liwas, ale w końcu jakoś wybrną, jakoś osiadną na miełach.

Autorka odmalowała swe środowisko, jak się wydaje, z bezpośrednich obserwacji. Lecz czegoś temu obrazowi brak. Za bardzo już są ci ludzie łagodni, dobrotliwi, wybaczący sobie nawzajem, za mało wśród nich tarć, waśni, niepokojów. A są to przecie osoby, wyrwane z różnych warstw i środowisk, reprezentujące odmienne i często jaskrawo kontrastujące z sobą światopoglądy, sklejani właściwie całkiem przypadkową łącznością wspólnej emigracji. Z interpretacji ich losów według Jolany Földes wynika, że ta wspólna dola wyzwała w nich skarbę szlachetności, współczucia, solidarności, braterskości. Niestety, w życiu bywa inaczej. Tego rodzaju wspólnota, brak ducha nad głową i niepowinność jutra raczej

wzmaga drażliwość i rozgoryczenie.

Ta dobrotliwa atmosfera, panująca w książce Jolany Földes, przypomina inną powieść — „Matkę” Aszy. Tylko tam rodzina żydowska wniosła wraz z sobą do Ameryki balast tradycji, przywiązań, niezmiennych obyczajów i pozostała, mimo nalożonej asymilacji, tym, czym była: żydowską małym miasteczkiem, tu zaś, dzieci, zwłaszcza młodsze, szybko przyjmują wszystkie dobrodziejstwa francuskiej opieki i cywilizacji. Z jednej warstwy społecznej, to jest z proletariatu, szybko zrobili krok do następnej, to jest do inteligencji, szybko też zapomną o swej narodowości. Janek Barabasz zostanie inżynierem, przeniesie się do kolonii i prawdopodobnie w końcu ożeni się z Francuzką, przypieczętowując proces swego asymilacji ostatecznie. Klara zostanie lekarką — i ta rezolutna, trochę oschła, świadoma swych celów dziewczyna da sobie w życiu radę. Anka — jedyna, która pozostała w sferze ludu pracującego rękodzielniczo, nie zawrze ostatecznego przymierza ze swą nową ojczyzną.

Zwłaszcza, że Anka najbardziej cierpi wskutek swego wiecznego miana cudzoziemki. Gdzie drwa rąbią, tam wióry leżą. Poznała na swojej skórze los tych wiorów, które placą najosobliwiej za każdy wstrząs natury politycznej, za każdy zamach, za każdą katastrofę. Na nich to się skupia, na tych małych cudzoziemkach, które natychmiast tracą pracę we francuskich warsztatach.

Nie zapuści korzeni, ani tu ani tam. Ale Budapeszt po latach, oprócz wspomnień dzieciństwa nie da jej nic.

Bo drzewka można szczepić tylko w pewnym wieku, potem się już nie przynaj. Owszem: jeszcze jedno, to co dotąd znała tylko w stosunku do swej własnej ojczyzny: da jej nostalgia za Paryżem. Będzie ją to miasto wszelkich możliwości kusiło swym niezapomnianym urokiem, wspomnieniem powietrza miękkiego i błękitnego, wspomnieniem wilgotnych wieczorów, kiedy kolorowe światła lamią się w wodzie Sekwany. Będzie kusiło tak długo — aż wróci.

Z WYSTAW

WYSTAWA OBRAZÓW LUDWI PINKUSIEWICZ W ZWIĄZKU ZAW. ART. PLASTYKÓW.

Wystawa prac Ludwika Pinkusiewicz jest jednym z najciekawszych wydarzeń w bieżącym sezonie artystycznym. Młoda ta bowiem malarka, jeszcze niedawno uczennica prof. Kowarskiego, ujawniła wyraźnie odrębną, samodzielną postać, dając przy tym oryginalną, nawiązującą do malarstwa formę plastyczną. Zasadniczym i de-

świadomie deformuje kształt modelu, podkreślając jedynie kolorem zewnętrzną konsystencję bryły, wtapia organicznie przedmiot w dwuwymiarową płaszczyznę płótna, podporządkowując rzeczywistość otaczającą nas surowemu rygorom swego plastycznego widzenia. Stąd jednolitość i zwartość jej prac, z których każda stanowi, jak gdyby zamkniętą w sobie frazę muzyczną. Do najciekawszych eksponatów należą portrety i martwe natury. Artystka wypowiada się w nich najswobod-



LUDWIKA PINKUSIEWICZ

„PORTRET”

cydującym elementem. Malarstwa artystki jest kolor. Kolor jest tu czynnikiem konstrukcyjnym, określającym trójwymiarowość realnego świata, głębi przedmiotu, jego brylowość, wreszcie przestrzenność wycinka natury. Pinkusiewiczowa unika łatwych walorowych, powierzchniowych rozróżnień barw, nie ma u niej jednego lub pokrewnych tonów, postępuje się przeważnie kontrastem, kładzie barwy zimne obok ciepłych, wydobywając w ten sposób z góla nieoczekiwane, nie raz wręcz kapitalne efekty. Swoją i bezpośrednią wrażliwość na kolor sprawnie, iż artystka stwarza wizję nowej, odrębnej prawdy, będącej konkretnym symbolem jej osobistych, najgłębszych doznań malarzkich.

Pewne zbyt już przesadnie gwałtowne, bo zbyt już przesadnie zestawienie są tylko wraz z żywiołowym, natchnionym wielką pasją talentu, błąd wynikł z bezkompromisowego poszukiwania form. Większość prac (zwłaszcza portretów) jest konsekwentnie celowej, wyłącznie kolorystycznej koncepcji artystki. Pinkusiewicz

dobnie, ubijając z żywiołowym wigorem niemal każdy rzut pędzla, różnicując fakturę, ożywiając rytmiczną grą materialnie wyczuwalny płom i dotknięcie — powierza nam swoje doświadczenia, stylizowaną dekoracyjność („Taty”).

Są na wystawie prace słabsze, jeszcze nieprzepracowane, przypadkowe — nie one jednak nie znaczą wobec innych, tak bardzo świeżych, własnych, malarzowsko sugestywnych, najzupełniej dojrzałych.

LEON STRAKUN.

CHARAKTERYSTYCZNE WEZWANIE

Młódzież literacka we Francji skarży się ciągle, że nikt ze starszych literatów się nią nie interesuje, że wszystkie rękopisy nadsyłane idą do kosza. W odpowiedzi na to Jerzy Duhamel zamieścił parę miesięcy temu w „Mercure de France” wezwanie do młódzieży, którego treść brzmi mniej więcej tak: — Nie wiercie legendom o storneczkach redakcyjnych, przysyłajcie rękopisy na moje nazwisko, ja wszystkie przeczytam i oznajmię wam moje zdanie.

J. Ernicz-Homańska

Ruch muzyczny w Warszawie

PREMIERA W OPERZE: „MARKIZA” WILHELMA KIENZLA („DER KUHREIGEN”).

Wilhelm Kienzla, 80-letni kompozytor austriacki, jest autorem kilku oper, z których „Der Kuhreigen” (grana również pod tytułem „Blanchefleur”, u nas dano tytuł „Markiza”) wystawiona była na wielu scenach zagranicznych — zapewne nietytuł ze względu na wartość muzyczną, ile raczej dlatego, że jest to barwne widowisko, w którym komizm obrazu, przedstawiającego ramie „lever du roi” Ludwika XVI, kontrastuje ze scenami rewolucji francuskiej 1792r., scenami, pełnymi „halasu, wzrąwy, tumultu, włącznie z gęstą strzelaniną na scenie.

Pytanie, kogo dzisiaj mogą przyciągnąć do teatru tego rodzaju sceny polędzone z rozbiciem mebli i tłuczeniem szkła, gdzie koroną wszyściego ma być moment, w którym podochociona szynkarka ze sztafandem rewolucyjnym w rękach, śpiewając Marsyliankę, wskakuje na stół w komnacie zdemolowanej przez tłum pałacu markiza.

Tego rodzaju sceny tyle razy już oglądało się w teatrze, że dla nikogo to nie jest nowością; zaś wolno raczej przypuszczać, że inteligencja dzisiejsza może mieć dość takich scen w życiu codziennym, choćby z racji zajęć uniwersyteckich — nie trzeba więc po to wybierać się aż do opery!

Dlatego też nie było chyba myślącego

widza w operze, któryby nie zastanawiał się nad pytaniem, poco właściwie takie dzieło wystawiła opera warszawska, mająca i tak przecież kolosalne zalety w dziedzinie repertuarowej? Odpowiedź na to pytanie pozostanie zapewne tajemnicą — nietytuł poliszynela — ile p. Mazarskiego.

Nie sadzimy bowiem, aby dyr. Mazarski kusił się tutaj o tendencje socjalne, o jakieś ostrzeżenia, aby chciał pokazać inteligencji warszawskiej i tej garście burżuazyjnych snobów, co jeszcze z rzadka uczęszcza do opery, co za niebezpieczeństwo może im grozić — bo wszakże nienawistnie molochu ulicznego skierowana być może nie tylko przeciwko utytułowanej arystokracji w rodzaju markiza de Massimelle i jego żony Blanchefleur!

Powszednie mówiono, że „Markizę” wystawiono ze względu na p. Bandrowską-Turską, która ze specjalnym upodobaniem kreuje partię tytułową — lecz przecież p. Bandrowska ma w repertuarze tyle innych partii z oper bardziej interesujących niż może nawet mniej kosztownych do wystawienia.

Skoro na początku sezonu p. Mazarski obiecał „Pelleasa i Malisande” Debussy’ego oraz „Pata Morgane” Jul. Wertheima, następnie zmienił te zobowiązania na „Ijolę” Rylla i „Megę Wieniawskiego”, a zamiast tego daje „Der Kuhreigen” Kienzla i „Orfeusza w piekle” Offenbacha — to chyba nikt nie może pochwalić pociemienia repertuarowych obecnej dyrekcji operowej.

„Der Kuhreigen” — to szwajcarska piosenka pasterska, której pod karą śmierci nie wolno śpiewać żołnierzom szwajcarskim, służącym we wojsku francuskim; piosenka ta bowiem wywołuje nostalgię i przyczynia się do dezercji. Podoficer szwajcarski Primus Thaller, skazany na śmierć za zaantonowanie tej piosenki w koszarach, zostaje przez króla ulaskawiony dzięki wstawiennictwu markizy Blanchefleur de Massimelle Zakochany w swej wybacicielce, Thaller pragnie ją ocalić wówczas, gdy rewolucja skazuje ją na śmierć. Po straceniu markiza, Primus Thaller odzyskuje w więzieniu markizę, przepowiadając jej jako wdowie, małżeństwo, aby ją uratować od śmierci. Lecz dumna markiza odrzuca jego rękę; woli zginąć na gilotynie, jako arystokratka, niż żyć dalej jako żona skromnego kapłana... Ostatnie chwile przed egzekucją, markiza, poświęca na... taniec menueta, który zostaje przerwany wezwaniem na szafot...

Muzyka tej opery można nazwać miłą, melodyjną, wpadającą w ucho piosenką szwajcarską (kt. właściwie należałoby dosłownie tłumaczyć jako „krowia”) posiada pewien swoisty wdzięk, tak jak i menuet, w końcu przerywany stukiem gilotyny; duet markizy i Thallera nie zbawiony jest nawet szczerem liryzmu — lecz muzyka ta ani nie posiada głębszych momentów, które mogłyby wzruszyć słuchacza, wreszcie przekonujemy się, do niego przemówić, ani jako całość nie ma dość silnej ekspresyjnej, aby utrzymać w skupieniu uwagę przez cały wieczór.

P. Ewa Bandrowska-Turska włożyła w

rolę markizy cały zasób swej wielkiej kultury, dystynkcji i wylotowego smaku; wokalnie jednak nie było tej jednolitej linii, która wskazywałaby na to, że partia ta jest aż tak dalece wdzięczna, iżby specjalnie dla popisu p. Bandrowskiej warto było wystawić tę operę.

P. Gruszczyński, jako Primus Thaller, pociąga mocą swego talentu. Niestety, głos jego (zwłaszcza w górze) nie dźwięczy tak, jakby tego można było oczekiwać od tenora prowadzącego zespół operowy. A szkoda; gdyby p. Gruszczyński zmienił trochę sposób śpiewania, mógłby być ozdobą każdej dobrej sceny celowo popracował nad wyszkoleniem — operowej, bo żarliwość jego ekspresji muzycznej i namiętność z jaką wyrzuca siebie zdania muzyczne, godna jest wielkiego uznania. Bardzo dobra była i Franciszka Platówna jako córka gospodara kantyny.

W mniejszych rolach wystąpili: J. Bender, jako markiz de Massimelle, p. Wiśniewski jako Ludwik XVI, p. Mosakowski jako podoficer Favart, oraz p. Bolko, Granowski i Terenkoczy-Jas-trzebska.

Chóry i orkiestra pod dyrykcją p. Tyli-tyli trzymały się dobrze.

Z FILHARMONII WARSZAWSKIEJ: 2 KONCERTY POD DYREKCJĄ W. FERRERO. KONCERT FORTPIANOWY M. KONDRACKIEGO. ZB. DRZEWIECKI.

Młody kapelmistrz włoski, Willy Ferrero, który dyrygował ostatnimi dwoma koncertami symfonicznymi Filharmonii, ma licznych wielbicieli wśród melomanów warszawskich.

Przed kilkunastu laty Ferrero wprowadził w podziw europejski świat muzyczny jako dyrygent — cudowne dziecko. Obecnie jest to już muzyk dojrzały, wykształcony, o wybitnej inteligencji i bezpośrednim temperamencie; a że przy tym doskonale umie partyturę i żywo przejmując się wszystkimi jej szczegółami — przeto słucha się jego dyrygowania z wielkim zainteresowaniem. Gdyby jeszcze nabrał spokoju i więcej dbał o przeprowadzenie całokształtu linii architektonicznej, zamiast rozpraszać się w szczegółach niewątpliwie osiągnąłby większą potęgę dramatyczną.

Orkiestra pod dyrykcją Ferrero grała świetnie, składając dowody wysokiego kunsztu technicznego, czy to w dwóch preludiach Bacha, zajmując opracowanych na orkiestrę symfoniczną przez współczesnego kompozytora włoskiego Pich-Mangiagalli, czy w „Moto perpetuo” Paganiniego, doskonale zinstrumencjonowanym przez Molinari’ego, czy w „Eroice” Beethovena, gdzie dokładność rytmiczna (nawet w tak trudnym miejscu jak początek scherza) i plastyka kontrpunktów (np. w finale), była wręcz znakomita.

Prócz wyżej wymienionych utworów, słyszeliśmy w programie dwóch koncertów pod batutą Ferrero szeregu dzieł, a mianowicie: koncertu fortepianowego c-moll Beethovena, z cieszącym się zawziętym powodzeniem w Warszawie, pianistą włoskim, Carlo Zecchim jako solistą, poematów symfonicznych „Popołudnie Fauna” Debussy’ego i „Śmierć i wyzwolenie” Straussa; ze zdecydowanym zwycięstwem skomponowanej „Malej uwertury” Palestra, grana już po raz drugi w tym sezonie, „Bolera” Ravela, oraz po raz pierwszy wykonanej przez Zbigniewa Drzewieckiego — II-go koncertu fortepianowego Michała Kondrackiego (dla-czego II koncert, skoro o I-szym nie wiadomo?)

Koncert Kondrackiego pełen jest wigoru rytmicznego i opiera się na powtarzaniu pewnych figur rytmicznych; powtarzanie to nie ma charakteru modulacji, lecz raczej uporczywego ostnata, refleksyjnie narzuconego i pozostającego bezrozwiązania. Środkowa część, jak zwykłe w koncercie, o tempie powolnym, odrywa się w fakturze fortepianowej wyraźnym echem Debussy’ego i Prokofiewa. III-cia część powraca do powtarzających się figur rytmicznych, przy czym narastającym napięciem w codzie wywołane jest więcej wzmaganie się dynamiki wykonania niż potęgowaniem wyrazu samej treści muzycznej.

Co za dźwięki dzieł ten drugi koncert fortep. od granej przed nim w Warszawie opery Kondrackiego „Pohieliny”, w której niejedną frazę rozbrzmiewała prawdziwie odczuwającym nastrojem i pełną współbrzmienia liryzmu.

Zbigniew Drzewiecki, niestrudzony propagator nowej muzyki, charakteryzując trudną, naderowaną wirtuozostwami pasażami, partię fortepianową koncertu w sposób godny podziwu.

Wielka technika i niezwykła łatwość przystawiania sobie nowego repertuaru, pomimo Drzewieckiemu w tej sprawie. Ciekawe, czy tak łatwo i w tak łatwy sposób, jak Drzewiecki, istnieją w duszy osoby tak szczerze wielbiące utwory młodych kompozytorów współczesnych, czy też wchodzi z zaletami do wnętrza od wewnętrznego zamiłowania do tego, co się gra — jest szlachetnie obywatelskim, a nie młodych kompozytorów, bronić im nie wolno, publikacji, a nie wirtuozostwa, nie są to cechy wirtuozów, a nie na terenie estradowym?

ANTENA ŚWIATA

KINO

Sytuacja gabinetu Bluma

„Times” w następujący sposób określa sytuację gabinetu Bluma:

„Zdając sobie sprawę z trudności, napotykaną na swej drodze, Blum uznał za stosowne zmienić ogólną linię swej polityki monetarnej, próbując zdobyć zaufanie kapitału. W tym celu zrzekł się urzędowania projektu robót publicznych, aby uzyskać równowagę budżetową; z drugiej strony wstrzymał nieco tempo realizacji reform społecznych aż do czasu, póki kraj nie przetrzyma reform już wprowadzonych. Na tej drodze rząd zdążył już zająć tak daleko, że potrzebna była „pauza”, inaczej bowiem całemu systemowi groziła ruina.

Rozważny głos Bluma wysłuchany został przez wszystkich jego współpracowników, nawet tych, którzy mają najbardziej lewicowe przekonania: zagryzli wargi i zgodzili się na pauzę. Jednakowoż „nie wszystkie elementy Frontu Ludowego” idą za Blumem. W szczególności, „Generalna Konfederacja Pracy” wyraźnie przeciwstawia się „pauzie” i monetarnej polityce. Ogrómy wiec, który odbył się w ubiegłym tygodniu, uchwalił rezolucję, żądając uruchomienia robót publicznych z wpływów nowej pożyczki; wprowadzenie ruchomej skali płac i w końcu emerytur dla starych robotników.”

„Humanité” zaczyna się po trochu niecierpliwić: „Czyżby rząd liczył na niezgodę pomiędzy proletariatem a średnią klasą? W każdym razie nikomu nie uda się zniechęcić średniej klasy do robotników, żądających pomocy bezrobotnym” na stałą pracę.

W zamian za to organ komunistyczny przyrzeka średniej klasie pomoc w sprawach jej dotyczących:

„Robotnicy, z kolei, rozumieją, że ich przyjaciele, antyfaszyści z klasy średniej mają również prawo do zrealizowania swych istotnych potrzeb. Jednym z naczelnym warunków powodzenia 40-godzinnego tygodnia jest wielka rozpiętość tej zasady”.

„Rozpiętość” ta polega, jak wiadomo, na tym, aby ustanowić zmiany pracowników sklepowych i dać w ten sposób możliwość właścicielom otwierania sklepów nie tylko przez 5, ale przez 6 dni w tygodniu. Do tej pory skrajnie lewicowe elementy były temu kategorycznie przeciwne, ale obecnie zmieniły zdanie.

„Humanité” wyraża nadzieję, że dzięki temu „osiągnie się w rezultacie zjednoczenie przeciwko wszystkim sabotażującym, burzycielom, zdrajcom i zbrojcom...”

„Matin” również wierzy w utworzenie jednego frontu przeciwko zdrajcom, wierzycielom i t. d., lecz widzi te elementy oczywiście w innym obozie i cynicznie pisze:

„Po mały wyjaśnią się, że wszyscy odpowiedzialni przywódcy — zarówno rządowi, jak i partii, wchodzących w skład „Frontu Ludowego”, a nawet „Generalnej konfederacji pracy” chcieliby skończyć z

anarcho-komunistycznymi skrajnościami, paraliżującymi działalność „Frontu Ludowego” i irytującymi ogólną opinią.

Dwie Hiszpanie

Charakterystyczny artykuł zamieścił w radykalnej „Ere Nouvelle” znany hiszpański działacz polityczny Castilian. Według jego zdania „czerwona” i „biała” Hiszpania „bardzo nieznacznie się różnią:

„Niekończąca się wojna wewnętrzna wykazuje niezwykłe podobieństwo pomiędzy nacjonalistami a stronnikami rządowymi, oczywiście, jeśli wyłączymy zagadnienie własności prywatnej. Najpewniej z powodu tak wielkiego podobieństwa, panuje taka straszna nienawiść między tymi obozami.

A więc przede wszystkim — cele walki: Zarówno Franco, jak i Largo Caballero marzą o wprowadzeniu ustroju „totalnego”, przy którym istniałaby jedna partia polityczna.

Obydwie strony posługują się terrorem jako metodą walki. Obydwie strony korzystają z pomocy cudzoziemców. Obydwie strony odnoszą się z nienawiścią do ducha liberalizmu, do siły prawa i życia ludzkiego”.

Autor w dalszym ciągu podaje następujący przykład tego podobieństwa:

„Jedną z przyczyn, która w lutym 1936 wywołała powstanie przeciwko „frontowi popularnemu” było rozporządzenie, aby obywatele witali się przez podniesienie w górę zaciśniętej pięści. Hiszpan — jest indywidualistą i to mu się nie podobało. Okazuje się, że Franco wprowadził na podlegającym mu terytorium obowiązkowe faszystowskie przywitanie”.

Dalsze „podobieństwo”:

„Zarówno anarcho-syndykaliści, jak i falangiści, mają te same barwy: czarną i czerwoną.

„Największe „podobieństwo” wyraża się w tym, że: obydwie strony z jednakowym uporem przeciwne są jakiegokolwiek pokojowej interwencji. I „czerwoni” i „biali” twierdzą: zwyciężyć albo umrzeć. Oślepieni nienawiścią nie rozumieją, że długotrwała walka — to zguba Hiszpanii. Oskarżając jedni drugich o zdradę, i ciągle mówiąc o własnym patriotyzmie, nie zdają sobie na nieszczęście, sprawy z tego, że prawdziwy patriotyzm polega na wyrzuceniu się osobistych ambicji i doktryn partyjnych dla dobra Ojczyzny. W tym niezrozumieniu, właściwym obydwu obozom, widzimy ostatnie, najbardziej tragiczne podobieństwo pomiędzy „białą i czerwoną Hiszpanią”.

Bardzo krótki wzrok musi mieć p. Castilian, skoro — nie tylko nie dostrzega aż nazbyt jaskrawych różnic, — lecz widzi jeszcze „podobieństwa”.

Ich „drobne ogłoszenia”

SPORTOWCY, LECZ NIE ARYJCZYCY

Dwaj panowie sportowcy (motocykliści), o dobrej prezencji, krew miesza

pierwszego stopnia, chcieliby zaślubić pannę o tych samych warunkach rasowych. Oferty itd.

(Frankfurter Zeitung)

NAWET PO ZA GRANICAMI KRAJU...
Handlowiec, lat 50, chrześcijanin, lecz nie aryjczyk. Chciałby zapoznać się z panną w wieku lat 30—40, o warunkach analogicznych, może być mieszkająca za granicą.

(Frankfurter Zeitung)

SPRECYZOWANIE OBOWIĄZKOWE.
U aryjczyków do wynajęcia pokój umiłowany, łożenka, wszelkie wygody.
(Westdeutscher Beobachter).

NAUKA NAZYSTOWSKA CZYNI POSTĘPY.

Zrzeszenie kuglarzy niemieckich (sekcja hamburska) organizuje w poniedziałek 12. kwietnia, o godz. 20, w Sagebiel wieczornicę, w czasie której odbędzie się prelekcja R. B. Mullera z Berlina na temat: Rola, jaką powinna odegrać stara niemiecka sztuka kuglarska w Państwie narodowo-socjalistycznym.

(Hamburger Fremdenblatt)

MILITARYZACJA PRZYBORÓW DO PISANIA.

To są drobiazgi, które dominują w naszym życiu. Zniknięcie gumki do wycierania powoduje stratę trzech drogotnych minut czasu, zaginięcie ołówka może nawet spowodować nasz zły humor. Czas jak i tracimy na szukanie koniecznych naszych akcesoriów w końcu roku osiąga liczbę kilku dni. Ułóżcie te przedmioty, jak kompanie żołnierzy, wszystko powinno być zawsze w porządku i pod ręką. Lecz kto wam to może zagwarantować? Wyłącznie garnitur biurowy „Favorit”!

Projekt J. Owensa

W jednej z gazet amerykańskich zamieszczony został wywiad ze słynnym murzyńskim szybkobiegaczem Owensem, championem olimpijskim i światowym recordsman'em w biegach krótkodystansowych. Jak wiadomo, po rozgrywkach olimpijskich Owens podpisał kontrakt z wielkim new-jorskim music-hallem, za co został pomimo licznych protestów — zaliczony do kategorii zawodowców. Po zakończeniu swoich występów Owens stał się... zawodowym agitatorem i przed wyborami prezydenckimi agitował na wiecach, nawołując do głosowania za Landonem przeciw Rooseveltowi. Nie bacząc na porażkę Landona, Owens zarobił na tym powyżej 25 tys. dol. Za te pieniądze zorganizował orkiestrę murzyńską, z którą występuje obecnie w jednym z kabaretów w New-Yorku.

Owens w swoim wywiadzie oświadczył, że marzy o zorganizowaniu kadr murzyńskich atletów, którzy mogliby odebrać białym wszystkie należne im rekordy w lekkiej atletyce. Owens spodziewa się, że przy zorganizowaniu murzyńskiego klubu, mającego oddziały w wszystkich ośrodkach sportowych Ameryki, jego marzenia ziszczą się za jakieś trzy — cztery lata.

Marlena Dietrich w swoim ostatnim filmie

Marlena Dietrich kończy obecnie w Londynie swój najnowszy film pod kierownictwem Jacques Feydera. Film ten zatytułowany: „Rycerz bez zbroi”, jest przeróbką bardzo popularnej powieści angielskiej. Akcja filmu tego toczy się w czasie rewolucji rosyjskiej. Realizacja filmu trwała 6 miesięcy i kosztowała przeszło 8 mil. zł. W ciągu pierwszych trzech miesięcy realizacji Marlena zarabiała po 600 funtów dziennie, w ciągu następnych trzech po 1000 funtów dziennie. To wynosiło po 1000 zł. za godzinę pracy sławnej gwiazdy. Jak informują z kulis studia, najbardziej atrakcyjne są sceny kąpieli Marleny, która w czasie tego filmu bierze ich bardzo wiele.

Noel Coward

Noel Coward jest człowiekiem teatru z Bożej łaski. Nie wystarczy mu pisanie sztuk scenicznych, sam je reżyseruje i interpretuje. W jednej z jego ostatnich sztuk musiał tańczyć. Kilka repetycji i oto Noel Coward może konkurować z zawodowcami.

Po za tym komponuje on muzykę do swych operetek. Ze swoją trupą aktorów odniósł już wielkie sukcesy w Anglii. Obecnie rozjeżdża po Ameryce z trupą z miasta do miasta, przy czym sztuki komponuje i przygotowuje w podróży.

Noel Coward ma przybyć ze swym zespołem do Paryża w końcu czerwca na wielki tydzień angielski. Rząd angielski dokłada wszelkich starań, aby go ściągnąć z New-Yorku, gdzie związany jest kontraktami. W każdym razie występy Noel Cowarda i jego zespołu będą największą sensacją teatralną Wystawy.

Zatonięcie „Siemioski”

W Odessie toczy się obecnie proces przeciwko winnym utonięcia niewielkiego łamacza lodów „Siemioska” i jego załogi. Sprawa ta budzi wielkie zainteresowanie, jako niezmiernie charakterystyczna dla sowieckich porządków.

Łamacz otrzymał rozkaz wypłynięcia na morze w czasie burzy. Rozkaz wykonano. Lecz wkrótce potem z łamacza nadeszedł kablogram dla władz portu. — Statek odzyska straszliwe kołysanie.

Urzednicy portowi, przeczytawszy tę depeszę, uśmiechnęli się: — Śmieszneli! Wszelkich kołysze na morzu...

Marynarze pozostawali na statku przez cały dzień, wzywając bez przerwy pomocy. Lecz nikt nie zwracał uwagi na te wołania. Ostatni radiogram brzmiał: „Zalew maszynowy. Schodzimy ze statku. Światło”...

Telegrafista nie mógł już nadać ostatniego wyrazu „gaśnie”.

Tragedia ta rozegrała się w odległości 60 mil od portu. Jakikolwiek statek nieco większy mógł w ciągu 5 godzin być na miejscu katastrofy. Lecz żadnego okrętu na pomoc nie wysłano.

(L—y)

„KLUB KOBIET”.

W każdym innym kraju z filmu w rodzaju „Klubu Kobiet” zrobiono film dydaktyczny, o mniej lub bardziej narzucającym się morale, napewno przesadnym i napewno bardzo „grubo szytym” — a więc denerwującym. Produkcja francuska podeszła do tego tematu w sposób bardzo swobodny — lekkością, inteligencją, błyskotliwością pokrywając to, co mogłoby razić, podając swe idee w tak zręcznej formie, że przestały być „moralą”, a stały się prawdą wzruszającą, przemawiającą nie tylko do sumienia, ale przede wszystkim do serca.

Film „Klub Kobiet” ukazuje życie domu, gdzie może schronić się każda młoda kobieta, obawiająca się niebezpieczeństw i pokus wielkiego miasta, domu, gdzie mężczyzna nie ma wstępu, a który jednak wzbudza, pulsując całym jednym słowem: „mężczyzna”. Wszystkie te młode dziewczęta, umieszczone w tym „klubie”, zmuszone do bardzo surowego regulaminu, mają jednak swoje przecięcia — tragedia i radości, a źródłem i motorem ich jest miłość i mężczyzna. W filmie tym nie występuje ani jeden mężczyzna (oprócz pewnego młodego chłopca i to też przebranego za kobietę), ale dzięki doskonałej i inteligentnej reżyserii ileż to wymowy mają rozmowy „panny telefonistki” z mitycznym „Maurice”, ile grozy wywołują reze mężczyzny, naciskającego w hotelu guzik alarmowy. To sprawia, że cała atmosfera filmu przesycona jest mężczyzną. Właśnie operowanie półotwartymi, to niedopowiedzianymi do końca, a pozostawianymi poity domysłowi widzowi — stwarza film niezwykle subtelny, wielki, tak bardzo po francusku kulturalny, podający najistotniejsze prawdy życiowe bez haseł — trochę bożym łzu, a trochę przez lekko ironiczny uśmiech. Film ten nie posiada właściwie istotnej fabuły, to raczej reżyżeria (i tak go należy traktować, bo w kwintesencji nie daje istotnego rozwiązania, które byłoby choć częściową odpowiedzią na poruszone zagadnienia), odzwierciedlający równomierne szereg zainteresowań i skupieniem śledzi się każdą z wątków zarówno złotych i upadłych pięknych dźwięków, jak nieszczęśliwych, prowadzących do zabójstwa niedozwolone uczucie do koleżanki młodej studentki medycyny, jak i śliczną miłość uroczej tancerki Claire. Film rozwiązany jest ściśle po francusku — w tym domu, gdzie mężczyzna jest wyklęty i nie ma wstępu — rodzi się dziecko. Zdawałoby się, że powód do skandalu i awantury aż nadto wystarczający, ale nie! dla francuza dziecko jest czymś tak bardzo świętym, że samo jego pojawienie się jest wystarczającym powodem do „happyendu”.

Film grany jest tak dobrze, każda z aktorek stworzyła sylwetkę tak charakterystyczną i udaną, że trzeba by wymienić całą plejadę nazwisk, u nas prawie nieznaną. Uroczą Danielle Darieux — aczkolwiek może moralna bohaterka filmu, jako że uwięzioną została macierzyństwem, — ma właściwie współrówną rolę z innymi aktorkami.

T. S.

Północna Palestyna czeka wyzwolenia

Nie przebrzmiały jeszcze wrażenia debaty w sprawach agrarnych przed Królewską Komisją, gdy nadchodził już z Centrali KKL w Jerozolimie wiadomość o nowym przedsięwzięciu, przerastającym w swych rozmiarach i w swej dynamice wszystkie prawie dotychczasowe akcje Keren Kajemeth. W związku z objęciem obszaru koncesji w dolinie Hule na przestrzeni 57.000 dunamów przez żydowskie towarzystwa kolonizacyjne podjął KKL ciężar rozszerzenia dalszego żydowskiego osiedlenia dokoła Hule, na przestrzeni zwyż 100.000 dunamów w górnej Galilei, na północ i zachód od terenu koncesji. Kieruje tym postanowieniem zarówno święty obowiązek wyzwolenia ziemi, jak też trzeźwo w przyszłość patrzący plan pracy KKL, który widzi konieczność odrodzenia kwitnącego niegdyś centrum żydowskiego i stworzenia rezerwy dla gęstego rolniczego jiszuvu na uzdrowionym obszarze ziemi Hule. Plan ten, obejmujący górną Galileę, jest klasycznym przykładem aktywnej polityki Keren Kajemeth, której celem jest wielokrotne zwiększenie pojemności kraju dla coraz bardziej rosnącego jiszuvu. Jasne jest jednak, że do uzyskania tych rezultatów nieodzowna jest oprócz znacznych środków pieniężnych także przychylna, ożywiona dobrą wolą współpraca aparatu rządowego.

Pierwszym zadaniem KKL w tym historycznym dziele jest przygotowanie środków koniecznych dla nabycia północno-zachodniego obszaru, otaczającego dolinę Hule, potrzebna jest do tego suma pół miliona funtów, która ma być spleciona w ciągu 5 lat. Podstawą tych płatności nie mogą być regularne dochody KKL, gdyż przeznaczone są one na inne poprzednio już przeprowadzone kupna. Dlatego wejdzie obecnie w życie druga forma zbiórki KKL, uchwalaona przed dwoma laty na Kongresie w Lucernie i zainicjowana z powodzeniem ubiegłego roku: **doroczna wielka akcja oddzielną**. Nowy plan pięcioletnia opiera się na tej właśnie akcji i przewiduje zebranie potrzebnej sumy 500.000 funt. w **rocznych ratach po 100.000 funtów**.

Ogrom ciężaru, jaki bierze na siebie w obecnej chwili Keren Kajemeth, świadczy, że i on także przejęty jest zaufaniem do siły i woli Żydostwa. Żądać podwójnych i potrójnych ofiar pieniężnych od zgnębionego narodu w galuce w czasie, gdy polityczna sytuacja w Erec Izrael wymaga bezwzględnej, niezachwianej wiary w przyszłość naszego dzieła — znaczy: być pewnym jego przywiązania. Taki był od początku istnienia stosunek KKL do mas ludowych, opierał się on na dwu elementach: na uczuciu, które czyniło drogą najmniejszą ofiarę biedaka i na rozumie, wskazującym jasno na wspaniały rozwój narodowej kolonizacji. Oby tym czynnikom zawdzięcza Keren Kajemeth swą ogromną popularność, one też poniosą teraz na swych skrzydłach wieść o nowym wielkim obszarze rolniczego osiedlenia w północnej części kraju.

Pół wieku z górą żyje północna Palestyna, „Hagalil-Haelion”, słynna z uroku swego krajobrazu, oddzielnym życiem od reszty kraju. Wśród gór jej i dolin, ożywionych rwącymi strumieniami i ocienionych szczytami Libanonu, mieszkała niegdyś liczna, dzelna ludność żydowska. Tu jedynie zachowały się ostatnie odłamy prastarych

pierwotnych szczepów Izraela, żyjących w Galil nieprzerwanie od czasów z przed zbiorzenia drugiej świątyni (Pekiin). Tutaj założone też zostały, równocześnie z początkami nowej kolonizacji żydowskiej w Judei i w dolnym Galilu, pierwsze osady w Rosz-Pinah, Jesod-Hamaal, Miszar Hajarzen, częścią przy pomocy Barona Rotzylza, a także z ramienia innych organizacji kolonizacyjnych. W początkach naszego wieku, w okresie t. zw. drugiej aliji, powstały Kfar Gileadi, Tel Chaj, Metulah — wiodły one wszystkie ciężki, samotny żywot mimo wydatnej pomocy barona Rotzylza. Jedyne miasto żydowskie w tej dzielnicy kraju, Safed, opromienione blaskiem wielkiej przeszłości historycznej, podupadło zupełnie, opuszczone przez większość żydowskich mieszkańców, gdyż brak żydowskiego osiedlenia dokoła miasta — pozbawia mieszkańców Safed wszelkich źródeł egzystencji.

Odcięty od reszty kraju i pozbawiony społecznej i duchowej łączności z życiem pulsującym na południu, leży Hagalil-Haelion jakby w śnie zaczarowanym. Wielkie obszary ziemi należą tu do kilku bogatych właścicieli dóbr w Syrii, grunta te obrabiają dzierżawcy, którzy także przeważnie mieszkają w Syrii i pojawiają się w kraju tylko w czasie robót sezonowych. Rzadko rozrzucone wioski, zamieszkałe przez nieliczną ludność tubylczą, oto całe zaludnienie Górnej Galilei.

Znowu podjął się Keren Kajemeth niezwyklej pracy pionierskiej, która trwać będzie przez dłuższy okres czasu i ma za cel ostateczne stworzenie dalszych rezerw gruntowych dla potrzeb żydowskiej narodo-

wej siedziby. Ci z nas, którym brak cierpliwości i wytrwałości, i którzy oczekują zawsze szybkich rezultatów pracy, niechaj uzbiorą się w dużą dozę spokoju i cierpliwości, gdyż mamy znowu przed sobą epokę uciążliwej, upartej walki. Tak, a nie inaczej, odbywa się proces wyzwolenia wielkich połaci ziemi, łączony z niezliczonymi technicznymi i politycznymi trudnościami.

DO ŻYDOSTWA POLSKIEGO!

Minął rok od wybuchu rozruchów w Palestynie. Jiszuv żydowski wytrzymał ciężką próbę, odpięając bohaterstwo wszelkie ataki. Obecnie znajdujemy się w obliczu poważnej sytuacji politycznej. Komisja Królewska ma wkrótce opublikować swoje sprawozdanie, które nakreśli drogi dalszego rozwoju Erec Izrael.

W tych ciężkich dniach, kiedy z troską spoglądamy w przyszłość naszego dzieła odbudowy, gdy polityka eksterminacyjna w różnych krajach diaspory ulega dalszemu zaostreniu, nadeszła nas radosna wieść, że Keren Kajemeth Leisrael — Żydowski Fundusz Narodowy opracował **plan pięcioletnia wyzwolenia Górnej Galilei i okolic Hule**. Po wyzwoleniu trzech wielkich dolin Emek Izrael, Emek Chejfer i Emek Zebulun — jest nowe dzieło Keren Kajemethu, dalszym poważnym krokiem naprzód w kierunku odbudowy Erec Izrael. Wykup gruntów w Galilei ma nie tylko kolosalne znaczenie gospodarcze, ale również polityczne i strategiczne. Nauczyło nas bowiem doświadczenie ostatnich 2-tu lat, że rozwój naszej kolonizacji, który zawdzięczamy funduszom narodowym, decydował również nieraz o naszych zdobyczkach politycznych.

W ostatnim okresie swej działalności ko-

lonizacyjnej, zawiął ruch syjonistyczny wobec Galilei. Ta piękna i urodzajna ośgiś połać kraju jest obecnie opustoszała. Galilea, w której żyli i działali wielcy mężowie żydowski, kolebka mistyki i kabali, pole bohaterów walk o wolność narodu, została przez nas zaniedbana. Wyzwolenie dla pioniera żydowskiego, twórcza praca narodowa, ominiętych ważną część kraju. Ośmiem kolonij żydowskich założonych przez Bilufczyków i Chaluców z drugiej aliji, nie mają możliwości rozwoju wśród wrogiego otoczenia dzikich plemion arabskich.

Keren Kajemeth, proklamując hasło „Hagalila” — „ku Galilei”, zamierza ożywić pustkowi Galilei i zamienić je w kwitnące osady żydowskie, a grunta oddać w wieczystą własność narodu żydowskiego.

Realizacja tego gigantycznego planu jest zależna od posiadania wielkich środków pieniężnych. Keren Kajemeth musi w tym celu zdobyć 500.000 funtów, oprócz normalnych wpływów rocznych w ciągu najbliższych pięciu lat. Pierwsza faza realizacji planu pięcioletnia rozpoczyna się obecnie **wielką akcją** pod hasłem „Hagalila”.

Naród żydowski ma znowu dokonać wielkiego czynu wyzwolenieckiego. Z Erec Izrael, z kraju naszej przeszłości, rozlega się zew „Hagalila”. Czyż nie odpowiemy na to wołanie? Od wysiłków działaczy syjonistycznych, od czynnego udziału najszerszych warstw żydowskich w akcji, od ich aktywności i ofiarności, zależy tempo realizacji wielkiego planu zdobycia północnej Palestyny. Nie wątpimy, że zew „Hagalila” odbije się głośnie echem we wszystkich kołach narodowych i znajdzie swój wyraz w znaczącym dopływie nowych sił i środków dla odbudowy Erec Izrael.

Keren Kajemeth Leisrael
Centrala na Polskę.
Warszawa, w maju 1937 r.